



CAROLE MORTIMER
Zagadka
z przeszłości

Tytuł oryginału:
Joined by Marriage



PROLOG

Leżała przed nią pojedyncza kartka papieru, zapisana jej drobnym charakterem pisma. Być może nie powinna była pisać tego listu. Coś jednak kazało jej to uczynić, nie potrafiła odejść tak bez słowa, nie pozostawiając po sobie nawet najdrobniejszego śladu. Po raz kolejny przeczytała treść listu, nieświadoma, że padające nań łzy rozmazują atrament. Czy dotrze on kiedykolwiek do adresata? A może ktoś dużo mądrzejszy od niej zniszczy go, bo uzna, iż tak będzie lepiej?

Nie, za wszelką cenę nie może do tego dopuścić! Zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby osoba, do której ten list napisała, mogła kiedyś przeczytać te słowa. Bądź co bądź, tylko to mogła po sobie zostawić, tylko ten list. Już dawno zdecydowała, że tak będzie najlepiej dla wszystkich i nie miała co do tego wątpliwości. Nie była może pewna, czy dobrze zrobiła, pisząc go, ale w głębi serca czuła, iż tak właśnie trzeba.

Teraz, gdy list już był gotowy, nie pozostawało jej nic innego, jak zrobić to, co sobie postanowiła. A więc to już koniec, przemknęło jej przez myśl. Koniec. Choć tak naprawdę, może to jednak początek...

ROZDZIAŁ. PIERWSZY

Brianna wzruszyła ramionami, doszedłszy do wniosku, że nie ma pojęcia, czego może dotyczyć list, który właśnie trzymała w ręku.

Szanowna Panno Gibson!

Bardzo prosimy o jak najszybszy kontakt, listowny bądź telefoniczny, z naszą kancelarią, w celu ustalenia daty spotkania z prawnikiem.

Papier ozdobiony był stylizowaną nazwą znanej londyńskiej kancelarii adwokackiej, ale podpis, znajdujący się pod krótkim listem, nie należał do żadnego z jej właścicieli, których nazwiska umieszczone były na samej górze. O co tu chodzi? - zastanawiała się gorączkowo.

- Co tam masz, siostrzyczko? - Młodszy brat Gary, zajął jej przez ramię.

- To chyba pomyłka - odparła, po czym zmięła list, zdecydowana wyrzucić go, gdy tylko skończy śniadanie.

- A o co chodzi, kochanie? - zainteresował się ojciec, który właśnie wszedł do kuchni, poprawiając krawat.

- Okazuje się, że nawet znanej kancelarii adwokackiej zdarzają się wpadki - zauważyła z uśmiechem. - Przysłali mi list, który zapewne miał trafić do kogoś innego. - Pod-

niosła się. - Masz może ochotę na grzanki? - Spostrzegła, iż ojciec, wyraźnie pobladły, zamarł bez ruchu. - Co ci się stało, tato? - zaniepokoiła się.

Podszedłszy wreszcie do stołu, ojciec opadł na jedno ze stojących tam krzesel.

- Czy mogę rzucić okiem na ten list? - poprosił.

- Na list? - powtórzyła zdziwiona, spoglądając na trzymaną w dłoni kulkę papieru. - Ale przecież mówiłam ci już, że po prostu się pomylili.

- Chodzi o kancelarię adwokacką Landris, Landris i Davis, prawda? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

Przez chwilę przypatrywała mu się z niebotycznym zdumieniem. Skąd wiedział?! Podała mu zmiętą kartkę papieru, którą on starannie wyprostował, po czym zaczął czytać.

- O co chodzi? - zapytał głośnym szeptem Gary, skończywszy jeść płatki na mleku.

- Nie mam pojęcia - wyznała, pp czym jak co ranka podała mu zapakowane w torebkę drugie śniadanie i drobne na autobus.

- Zdaje się, że to coś poważnego - zawyrokował, spoglądając na zatroskaną twarz ojca.

Brianna nie była pewna, czy może się z nim zgodzić. Zresztą, w ogóle nie była pewna, czy' chce wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. A może ten Ust miał coś wspólnego z ich zmarłą przed dwoma laty matką? Chociaż z drugiej strony było już chyba za późno na kwestie spadkowe.

- Do szkoły - zakomenderowała, podając bratu teczkę z jego pracami domowymi. - Zaraz spóźnisz się na autobus.

Gary mruknął z niezadowolaniem, nie miał bowiem ochoty wychodzić w tak nieodpowiedniej chwili, gdy w do-

mu działo się coś zagadkowego. Jednocześnie nie należał jednak do osób, które lubią wysiłek fizyczny, więc nie uśmiechał mu się spacer do szkoły, dlatego też, chcąc nie chcąc, w końcu wyszedł.

Brianna zajęła się sprzątaniem po śniadaniu, wiedziała bowiem, że ponaglanie ojca nic nie da, toteż pozostaje jej jedynie uzbroić się w cierpliwość, aż do chwili, gdy ojciec sam zechce powiedzieć jej, o co w tym wszystkim chodzi. Nie było to łatwe, gdyż należała do osób impulsywnych, ale matka przed laty nauczyła ją, że ojcem da się delikatnie pokierować, nie sposób jednak cokolwiek na nim wymusić. Miała tylko nadzieję, że dowie się czegoś, zanim będzie musiała wschodzić do szpitala, gdzie pracowała jako recepcjonistka.

- Sądzę, że ten list ma związek z twoją prawdziwą matką - odezwał się wreszcie ojciec zdławionym z emocji głosem.

Odwróciła się powoli, zaskoczona. Rodzice nigdy nie ukrywali przed nią, że została adoptowana, wręcz przeciwnie, powiedzieli jej to otwarcie, gdy tylko była wystarczająco duża, by zrozumieć, jakim była wyjątkowym prezentem dla Grahama i Jean Gibsonów po tylu latach bezskutecznych starań o własne dziecko. Nigdy jej to nie przeszkadzało, podobnie zresztą jak to, że gdy miała cztery lata, urodził się Gary. Co więcej, nawet nie przyszło jej do głowy, by odszukać swych biologicznych rodziców, bowiem Gibsonowie kochali ją całym sercem. Poza tym uważała, że skoro z jakiegoś powodu jej naturalni rodzice zmuszeni byli oddać ją, to gdyby teraz próbowała ich odnaleźć, mogłaby sprawić im ogromną przykrość i otworzyć dawno zablźnione rany. Dlatego tym większym zaskoczeniem był dla niej fakt, że jej biologiczna matka chciała ją teraz odszukać.

- Dlaczego tak uważasz? - Zmarszczyła brwi.
- Dlatego, że... - zawahał się. - Że trzy miesiące temu, tuż przed twoimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami, sam otrzymałem od nich list.

- W liście wyraźnie jest napisane, żeby pani skontaktowała się z nami, zanim przyjdzie pani do naszego biura - zauważyła z naciskiem recepcjonistka. - Gdyby pani zatelefonowała, umówiłabym panią z...

- Ale ja nie chcę się z nikim umawiać - odparła chłodno Brianna, która nie dała się zbić z tropu, sama będąc recepcjonistką. - Chciałabym tylko porozmawiać z jednym z właścicieli i to jak najszybciej.

Była pewna, że jeśli okaże stanowczość, ktoś w końcu zechce wyjaśnić jej, o co w tym wszystkim chodzi. Jak się okazało, w liście, jaki ojciec otrzymał z kancelarii Landris, Landris i Davis, dopytywano się, czy adoptował dziewczynkę o imieniu Brianna. Odpisał, że tak, pytając jednocześnie, w jakim celu prawnicy potrzebowali tej informacji, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi, więc gdy upłynęły trzy miesiące, doszedł do wniosku, że nastąpiła pomyłka. Tymczasem Ust, jaki tego ranka otrzymała Brianna, sugerował, że o żadnej pomyłce nie mogło tu być mowy. W związku z tym przez całe przedpołudnie nie potrafiła się skupić na pracy, a że z natury nie znosiła tajemnic, w czasie przerwy na lunch udała się prosto do kancelarii.

- Niestety, to niemożliwe - upierała się recepcjonistka.
- Wszyscy szefowie są w tej chwili zajęci.

- W takim razie poczekam, aż któryś z nich znajdzie dla mnie wolną chwilkę - odparła równie stanowczo Brianna.

- Ależ... panno Gibson - zachnęła się tamta. - Chyba pani nie rozumie. Mogę panią umówić na spotkanie, ale najbliższy wolny termin przypada w przyszłym tygodniu.

- To pani mnie nie rozumie - przerwała jej.

- Panno Gibson, powtarzam...

- Jakieś problemy, Hazel? - wtrącił się męski głos.

Obydwie kobiety odwróciły się jak na zawołanie w kierunku, skąd dochodził ów głęboki głos. Recepcjonistka wyglądała na mocno zmieszaną zaistniałą sytuacją, z czego Brianna wywnioskowała, że nie mają do czynienia z szeregowym pracownikiem kancelarii. Świadczył o tym również ubiór nieznanego, doskonale skrojony czarny garnitur oraz elegancka biała koszula. Niektórzy lekarze, z jakimi przyszło Briannie pracować, zdawali się być głęboko przekonani o swej wartości, ale ten człowiek bił ich w tej kategorii na głowę. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że ów mężczyzna był arogancki i pewny siebie, a stanowcza linia zaciśniętych ust świadczyła, iż nie miał zbyt wielu powodów, aby się uśmiechać. Biedna recepcjonistka, która na co dzień jest narazonana to lodowate spojrzenie, przemknęło Briannie przez myśl.

- Nie, nie, panie Nathanie - zapewniła pospiesznie kobieta. - Tyle że panna Gibson nie była umówiona, a...

- A z kim chciałyby się pani widzieć? - zwrócił się do Brianny, spoglądając na nią z wysokości swego metra dziewięćdziesięciu.

- Z panem Landrisem albo z... panem Landrisem, albo panem Davisem - odparta chłodno, resztkami cierpliwości powstrzymując się przed wybuchem.

- A konkretnie z kim? - Skrzywił się.

- Trudno powiedzieć. List, który od państwa otrzymałam, był równie niekonkretny - odparowała.

- List? - powtórzył, przypatrując się jej uważnie. - Jaki list? Może gdybym mógł go zobaczyć...

- Oto on, panie Nathanie. - Recepcjonistka podała mu lekko zmiętą kartkę.

Brianna, która natychmiast poczuła do niego antypatię, zupełnie wbrew sobie zanotowała w pamięci, iż miał piękne, smukłe dłonie, zdecydowanie zbyt piękne, jak na takiego wyniosłego osobnika.

- Hmm... - mruknął, przeczytawszy list. - Tutaj jest całkiem wyraźnie napisane... - urwał, spostrzegłszy starszą parę, która wchodziła właśnie do biura. - Pani pozwoli ze mną do gabinetu, panno... Gibson - dodał po chwili wahania. - Będziemy mogli porozmawiać tam w spokoju.

- Ale przecież ma pan spotkanie o drugiej - przypomniała recepcjonistka.

- Zostało jeszcze mnóstwo czasu - stwierdził, po czym ujął Briannę za ramię. - Tędy proszę, panno Gibson.

Brianna nie miała oczywiście najmniejszych wątpliwości, że gdyby nie pojawienie się starszej pary, nie zostałyby zaproszona do żadnego gabinetu, ale odesłana z kwitkiem.

Pomieszczenie, do którego ją zaprowadził, utrzymane było w granacie i szarości, przez co, choć niezaprzeczalnie eleganckie, sprawiało dość ponure wrażenie. Mężczyzna usiadł w większym fotelu, wskazując jej mniejszy, tak jakby od razu chciał zaznaczyć, kto tu jest ważniejszy, kto zaś powinien się podporządkować.

- Nie podejrzewa pani, czego może dotyczyć ten list?

Mogła tylko powtórzyć domysły ojca, ale wydawało jej

się raczej mało prawdopodobne, aby jej biologiczni rodzice nagle zapragnęli ją odszukać, skoro została oddana do adopcji jako dwumiesięczne niemowlę. Swoją drogą, ciekawa była, co mógł znaczyć ów list, jaki ojciec otrzymał przed trzema miesiącami z tej samej kancelarii.

- Nie mam pojęcia.
- Rozumiem - mruknął w zamyśleniu.
- Uważam, panie Nathanie, że jeśli pan również nie wie, o co tu chodzi, to tylko marnuje pan swój i mój czas - zirytowała się.

Natychmiast na jej policzki wypłynął gorący rumieniec, było jej bowiem wstyd, iż nie zdążyła się w porę opanować. Doszła też do wniosku, że należały mu się przeprosiny, bo przecież zgodził się poświęcić jej trochę czasu, zamiast poczekać, aż recepcjonistka się jej pozbędzie.

- Przepraszam pana - westchnęła. - Sam pan chyba rozumie, że takie listy, jak ten, mogą wytrącić z równowagi.

- Nie wątpię - przyznał. - Pozwoli pani, że zanim przejdziemy do sedna sprawy, ustalimy jedną kwestię?

- To znaczy?
- Nie nazywam się Nathan.
- Ale tak właśnie zwracała się do pana recepcjonistka - zaprotestowała Brianna, nie rozumując, o co mu chodzi.

Na jego usta wypłynął grymas, który Brianna zdecydowała uznać za uśmiech

- Nazywa mnie tak, odkąd pamiętam...
- W takim razie nie rozumiem, dlaczego, skoro pan się tak nie nazywa - wpadła mu w słowo.

- Czy pozwoli mi pani skończyć? Zawsze jest pani taka w gorącej wodzie kąpana?

Wyglądał na szczerze zdziwionego jej zachowaniem, jak gdyby nigdy nie miał do czynienia z nikim impulsywnym, kto nie bałby się wyrażać swych opinii. Cóż, ona również nie spotkała nikogo tak sztywnego i zasadniczego, a przy tym równie aroganckiego, jak on. Zapewne miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat, a zachowywał się i wyrażał, jak gdyby był dużo, dużo starszy.

- Chyba tak - odparła szczerze. - Zresztą, gdyby było inaczej, nie przyszedłbym tu dzisiaj, prawda?

- Jak już mówiłem... - kontynuował cierpliwie.

- Zanim panu grubiańsko przerwano - uzupełniła, nim zdążyła ugryźć się w język.

Był taki pompatyczny, że cały czas chciało jej się śmiać!

- Hazel zwraca się do mnie „panie Nathanie”, ponieważ zna mnie od wielu lat - ciągnął, ignorując jej uwagę.

- Rozumiem, tylko dlaczego w takim razie powiedział mi pan przed chwilą, że tak się pan nie nazywa? - Nie mogła pojąć, do czego zmierzał.

Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze, wyraźnie starając się zebrać w sobie resztki cierpliwości. Nagle zająknął w oczy, jak gdyby zaczął podejrzewać, iż Brianna w duchu naśmiewa się z niego.

- Mam na imię Nathan - zaczął powoli, jak gdyby mówił do mało pojętego dziecka. - Hazel pracuje tu od ponad trzydziestu lat i zna mnie, odkąd jako pięciolatek po raz pierwszy pojawiłem się w firmie.

- Jest pan prawnikiem od piątego roku życia? - wpadła mu w słowo.

- Gdyby nie to, że coś w tonie pani głosu mówi mi, że

pani zdumienie jest autentyczne, gotów byłbym przysiąc, że pani kpi sobie ze mnie. - Skrzywił się.

- Ależ skąd! — zaprzeczyła szybko. - Pytam poważnie.

Nie miała pojęcia, co strzeliło jej do głowy, żeby wtrącić tak absurdalną uwagę. Być może to efekt stresu, związanego z otrzymaniem tego zagadkowego listu.

- Jako pięciolatek przychodziłem tu z ojcem, który był... nadal jest prawnikiem - tłumaczył cierpliwie.

Brianna kiwnęła ze zrozumieniem głową, z tonu jego głosu wnioskując, że to jeszcze nie koniec wyjaśnień.

- Hazel zwraca się do mnie „panie Nathanie” prawdopodobnie dlatego, że chce w ten sposób uniknąć nieporozumień, ponieważ nazywam się Nathan Landris, panno Gibson - dokończył dobitnie.

- Ach, Landris i Landris! - zrozumiała. - Który z nich to pan?

- Żaden. Pierwszy to mój ojciec, drugi... stryj James, który nie żyje od dziesięciu lat. Trzecim współnikiem jest wuj Roger Davis. Ale za pięć lat...

- Kiedy pan będzie miał czterdzieści - wyrwało jej się znowu.

- Tak, kiedy będę miał czterdzieści lat - potwierdził, ponownie przypatrując się jej uważnie, jak gdyby oceniał, czy się z niego przypadkiem nie natrząsa.

Oczywiście, że nie naśmiewałaby się z syna jednego z właścicieli kancelarii adwokackiej, która w dodatku miała do niej jakąś niesłychanie tajemniczą sprawę. Może i była w gorącej wodzie kąpana, ale też nie brakowało jej rozsądku. Poza tym była mu wdzięczna, że zajął się nią, choć zapewne i bez tego miał mnóstwo pracy.

- Tak więc za pięć lat zostanę pełnoprawnym współwłaścicielem firmy - dokończył; - Kancelarii Landris, Landris, Davis.

- I Landris - uzupełniła.

- Czy nie myślała pani kiedykolwiek o studiach prawniczych, panno Gibson? - zagadnął, przypatrując jej się z lekkim uśmiechem na ustach. - Odnoszę wrażenie, że byłaby pani dobrym adwokatem. W dodatku widzę panią po raz pierwszy w życiu, i choć rozmawiamy dopiero od jakichś dziesięciu minut, zdążyłem już sporo pani o sobie powiedzieć, o swoim dzieciństwie, o tym, co ma się wydarzyć za pięć lat. Dziwne, zazwyczaj trudno skłonić mnie do jakichkolwiek zwierzeń. Przy tym wszystkim nie wiem o pani praktycznie nic, panno Gibson.

- Brianno - poprawiła odruchowo. - Skoro już jesteśmy na etapie zwierzeń, powinien pan zwracać się do mnie po imieniu - wyjaśniła.

- Ma pani na imię Brianna? - Zdawał się nie wierzyć własnym uszom.

- Oczywiście, że tak - obruszyła się. - Chyba nie poprosiłabym, żeby mnie pan tak nazywał, gdyby nie było to moje imię, prawda? - zauważyła z przekąsem.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani urazić, panno-Gibson... Brianno - poprawił się. - To niesłychanie rzadkie imię. Jakby męskie.

- Zapewniam pana, że nie jestem mężczyzną! - rzuciła zirytowana, zaczynała bowiem żałować, iż powiedziała mu, jak ma na imię.

- To akurat widzę. - Uśmiechnął się znacząco.

- Może miałam krewnego o imieniu Brian - ucięła, spo-

glądając na zegarek. - Skoro nie jest pan w stanie mi pomóc...

- Niestety, nie. - Podniósł się, jak gdyby zamierzał odprowadzić ją do drzwi. - Powinna pani zobaczyć się z moim ojcem.

- Jak to? - Zmarszczyła brwi. - Skąd pan wie, że akurat z nim?

O ile dobrze rozumiała, w poczekalni nie miał pojęcia, do kogo należy ją skierować. A może tylko udawał, że nie wie?

- Wskazuje na to sygnatura w lewym górnym rogu listu - wyjaśnił, jak gdyby to było jasne jak słońce.

A więc od początku wiedział, z którym Landrisem powinna się zobaczyć!

- Dlaczego w takim razie od razu mi pan nie powiedział, że powinnam się zobaczyć z pańskim ojcem? - zapytała oskarżycielskim tonem, odebrawszy mu list.

- Ponieważ w tej chwili go nie ma. Chyba Hazel powiedziała pani o tym.

- Powiedziała, że jest zajęty, cokolwiek miałoby to znaczyć - odparowała.

- To znaczy, że jest zajęty. Ale powiem mu, że pani tu była.

- Ach, bardzo dziękuję! - prychnęła.

- Proponuję jednak ustalić z Hazel termin spotkania, dzięki temu będzie pani miała pewność, że ojciec panią przyjmie - poradził.

- Jak sądzę, najbliższy wolny termin będzie najwcześniej w przyszłym tygodniu - zakpiła.

- Być może. - Skrzywił się. - Ale to jedyna rada, jaką mogę pani dać.

- Ciekawe, dlaczego mam wrażenie, że jest pan wyjątkowo nieustępliwy na sali sądowej?

- Może dlatego, że faktycznie udało mi się wygrać kilka spraw? - roześmiał się.

- Nie wątpię, biorąc pod uwagę pański upór. - Ruszyła w kierunku drzwi. - Proszę mi wybaczyć, ale muszę umówić się na pewne ważne spotkanie.

To powiedziawszy, wyszła z gabinetu, nawet się nie pożegnawszy, co może nie było grzeczne, ale po prostu nie miała ochoty dłużej z nim rozmawiać.

- Pójdę z panią - dobiegł ją jego głos.

- Nie ma takiej potrzeby - oznajmiła, zatrzymując się gwałtownie. - Proszę się nie obawiać, nie zabłądzą!

- Czy zawsze jest pani taka bezpośrednia, panno Gibson? - zapytał, spoglądając na nią z urazą.

- Obawiam się, że tak. Jak rozumiem, dyskwalifikuje mnie to jako przyszłą prawniczkę, prawda? - skomentowała.

Tak naprawdę nie chciała go urazić, choć nie sposób było nie zauważyć, że nie miał w sobie nawet odrobiny bezpośredniości.

- Pójdę umówić się na to spotkanie. Dziękuję panu za... hmm... - zawahała się. - Za pomoc - dokończyła pośpiesznie.

Na jego usta wypłynął nieśmiały początkowo uśmiech, który chwilę później wręcz zapałł dech w piersiach Brianny, stał się bowiem tak promienny i czarujący. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nathan Landris w ciągu dosłownie sekundy przeszedł ogromną metamorfozę, która odmieniła go nie do poznania. Nagle lodowate spojrzenie błękitnych oczu stało się ciepłe i przyjazne, zaś uroczy uśmiech sprawił, iż jego twarz wydawała się szalenie przystojna.

- Rzeczywiście, raczej nie nadawałaby się pani na prawniczkę - przyznał z niejakim rozbawieniem. - Zdaje się, że najpierw pani mówi, a dopiero potem myśli.

- Podczas kiedy rasowy prawnik najpierw myśli, a potem nic nie mówi - dokończyła z kpina w głosie.

Może wydawało mu się, że sporo jej o sobie powiedział, ale choć ich rozmowa trwała dość długo, Brianna nie dowiedziała się absolutnie nic w sprawie, w związku z którą się tu zjawiała. Dała się nabrać na typowy chwyt wielu prawników.

- Przepraszam, ale naprawdę muszę wracać do pracy - zmieniła temat, chcąc wreszcie uwolnić się od jego towarzystwa. - Pozwoli pan, że pójde do recepcji, żeby umówić się na spotkanie.

To powiedziawszy, ruszyła korytarzem, w nadziei, iż uda jej się wreszcie mu umknąć.

- A w jakim zawodzie pani pracuje, panno Gibson? - zainteresował się, podążając jak gdyby nigdy nic wraz z nią w kierunku biurka Hazel.

- Jestem recepcjonistką - odparła, po czym rzuciła mu zaczepne spojrzenie.

- Naprawdę? - zdumiał się. - Jestem skłonny w to uwierzyć! - zaśmiał się głośno. - W takim razie chyba nie będzie pani miała żadnych trudności w umówieniu się na spotkanie w najbardziej dogodnym dla pani terminie, więc... - urwał, zauważywszy zbliżającego się ku nim starszego mężczyznę. - Trafi pani do recepcji? - Jego ton ponownie stał się suchy i rzeczowy.

- Oczywiście, że tak - zapewniła, przypatrując się nieznajomemu.

Był ubrany równie elegancko jak Nathan i podobnie jak

on sprawiał wrażenie dosyć wyniosłego i poważnego. Brianna doszła do wniosku, iż jest to właśnie ów klient, z którym Nathan Landris był umówiony na czternastą.

- Czy mógłbyś poczekać w moim gabinecie? - poprosił mężczyznę Nathan. - Za chwilę będę wolny.

- Spieszę się - odparł oschle tamten.

- To nie potrwa długo - zapewnił Nathan Landris.

- Widzę, że jest pan zajęty - wtrąciła się Brianna. - Nie będę pana dłużej zatrzymywać.

Posłała ciepły uśmiech nieznanemu, który, choć był znacznie starszy od Nathana, przypatrywał się jej z ogromnym zainteresowaniem. Miło jej było, że przynajmniej on dostrzegł w niej kobietę.

Wychodząc z siedziby kancelarii Landris, Landris i Davis, miała wrażenie, że właściwie zmarnowała czas. Być może wiązała zbyt wielkie nadzieje z tą wizytą, ale kto mógł się spodziewać, że nie przyniesie ona żadnych rezultatów i kwestia owego tajemniczego listu jeszcze przez tydzień pozostanie zagadką?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Naprawdę nie powinnaś była iść tam sama, Brianno - orzekł ojciec, gdy tego wieczoru siedzieli wspólnie przy stole. - Myślałem, że zgodziliśmy się rano co do tego, że najlepiej będzie, gdy wstrzymasz się z decyzją, co robić dalej, zanim będziemy mieli szansę porozmawiać o tym na spokojnie.

- Nie martw się, tato - uspokoiła go. - I tak nic nie osiągnęłam, a w dodatku mam wrażenie, że zrobiłam z siebie idiotkę.

Im dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej była zła na siebie i Nathana Landrisa, który jej to zadanie znacznie ułatwił. Nie dość, że nie udzielił jej żadnych konkretnych informacji, to jeszcze tak ją skołował, że zupełnie zapomniała, iż zjawiała się tam, by domagać się wyjaśnień.

- Co za historia! - entuzjazmował się jej młodszy brat. - A może okaże się, że jesteś córką jakiegoś nieprzyzwoicie bogatego szejka i właśnie odziedziczyłaś fortunę?

Nigdy nie ukrywano przed Garym, iż Brianna nie jest jego biologiczną siostrą i chyba właśnie przez to, iż traktowano tę sprawę jako zupełnie normalną, żadne z rodzeństwa nie przywiązywało do tego faktu większej wagi.

- Coś ty, nie z taką jasną cerą! - Pokręciła energicznie głową. - Zresztą, znając moje szczęście, jestem pewnie córką

utrącają i odziedziczyłam nie milionowy spadek, ale milionowy dług.

Gary roześmiał się serdecznie, ale ojciec nadal pozostawał zaszępiiony.

- Tato... - Położyła dłoń na jego rękę. - Nie martw się.
- Przerwał jej dzwonek telefonu. - Nie jesteś chyba na dyżurze?

- Nie, ale to chyba nigdy nie przeszkadzało pacjentkom dzwonić do mnie, prawda? - Uśmiechnął się blade.

Rzeczywiście, jako ginekolog-położnik ojciec miał zawsze ręce pełne roboty, zaś telefon dzwonił o różnych porach dnia i nocy.

- Odbiorę - zawołał Gary, zrywając się z krzesła.

- I tak pewnie do ciebie - zauważyła z uśmiechem Brianna, która nie mogła się nadziwić liczbie dziewcząt, jakie kręciły się wokół jej brata.

- Albo ten bogaty szejka do ciebie - zażartował, zatrzymawszy się w progu.

- Przecież już nie żyje - przypomniała żartobliwie.

- Jednak coś mi mówi, że nadchodzą kłopoty, które zburzą nasz mały, poukładany świat - westchnął ojciec.

- To do ciebie, siostrzyczko - poinformował Gary. - Jakis pan Landris.

- Widzisz? - Ojciec posłał jej znaczące spojrzenie.

Nathan Landris?! A cóż to kazało mu do niej telefonować o siódmej wieczorem, gdy spokojnie jadła kolację z rodziną? Poza tym godziny urzędowania kancelarii już dawno się skończyły, więc niemożliwe, żeby był w pracy. Chyba że był pracoholikiem, na jakiego zresztą wyglądał, więc właściwie nie powinno ją to tak bardzo dziwić. Choć tak naprawdę nie

było powodu, dla którego Nathan Landris miałby ją zaszczyścić telefonem, bo jej sprawą zajmował się jego ojciec. Czyżby więc dzwonił w prywatnej sprawie? Czy to możliwe, żeby zauważył w niej nie tylko klientkę rodzinnej kancelarii, ale też kobietę?

- Nie wiem, czy jest gotowy czekać cały wieczór, aż podejdziesz do telefonu, Bri - wyrwał ją z zamyślenia Gary.

- Wszystko będzie dobrze, tato - pocieszyła go, wstając od stołu.

- Chciałbym w to wierzyć - mruknął. - Nie chcę cię stracić, Brianno.

- I nie stracisz - oznajmiła zdecydowanie, po czym posłała mu pełen otuchy uśmiech. - Witam cię, Nathanie - powiedziała do słuchawki. - Czemu zawdzięczam twój telefon?

Przez moment na drugim końcu linii telefonicznej panowała dziwna cisza.

- Miło mi panią słyszeć, panno Gibson, ale to nie Nathan - oznajmił męski głos, którego nie znała. - Nazywam się Peter Landris, jestem ojcem Nathana.

Gdy tylko się odezwał, wiedziała, że to nie Nathan do niej dzwoni, bo choć głos Landrisa seniora był równie głęboki i dźwięczny, nie sposób było ich nie odróżnić.

- Bardzo przepraszam, panie Landris. - Zarumieniła się. - Myślałam...

- Proszę nie przepraszać - wpadł jej w słowo. - Biorąc pod uwagę okoliczności, pani pomyłka jest zupełnie zrozumiała.

Okoliczności? Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

- Z tego, co wiem, rozmawiała pani dziś z moim synem, prawda? - ciągnął pogodnym tonem, jak gdyby rozumiał, iż

jest oszołomiona, i chciał w ten sposób dać jej czas na uporządkowanie myśli.

- Tak - potwierdziła, zachodząc jednocześnie w głowę, co też Nathan naopowiadał ojcu o ich spotkaniu. - Powiedział mi, że jest pan bardzo zajęty - dodała z naciskiem.

Najwyraźniej nie był aż tak bardzo zapracowany, skoro mógł sobie pozwolić na telefonowanie do niej.

- Właśnie w tej sprawie dzwonię. Powiedziano mi, że umówiła się pani na spotkanie ze mną w przyszłym tygodniu, a właśnie zauważyłem, że mam jutro okienko o trzynastej. Może wolałaby pani zobaczyć się ze mną jutro?

- Czy moglibyśmy umówić się na trzynastą piętnaście?

Gdyby wykorzystała przerwę na lunch, miałyby do dyspozycji jakieś trzy kwadranse.

- Oczywiście, że tak - zapewnił. - W takim razie jesteśmy umówieni na trzynastą piętnaście, panno Gibson. - Odłożył słuchawkę.

Dziwna rodzina, pomyślała Brianna, kręcąc z niedowierzaniem głową. To nic, najważniejsze, że była umówiona z Peterem Landrisem nie na przyszły tydzień, lecz na następnny dzień. Teraz tylko pozostało jej wrócić do kuchni i uspokoić pełnego złych przeczuć ojca.

Następnego dnia kwadranse po trzynastej znalazła się twarzą w twarz z owym mężczyzną, o którym jeszcze wczoraj sądziła, że był klientem, umówionym na czternastą z Nathaniem Landrisem. Zirykowało ją, że choć Nathan wiedział, że chciała porozmawiać z jego ojcem, z siebie tylko znanych przyczyn postanowił jej go nie przedstawiać.

- Chciał się pan ze mną widzieć, panie Landris? - zaczę-

ła, nie owijając w bawełnę. - Właśnie jestem w trakcie przerwy na lunch, więc nie mam zbyt wiele czasu.

. Ku jej zdumieniu, Peter Landris nie obraził się z powodu jej chłodnego tonu, lecz uśmiechnął się promiennie, przez co uwydatniło się jeszcze jego podobieństwo z synem.

- Ja też mam właśnie przerwę na lunch - oznajmił pogodnie. - Może w takim razie zamówię kanapki i kawę?

- Czy to znaczy, że będę tu aż tak długo, że zdążę coś zjeść? - zaniepokoiła się.

- Nathan wspomniał mi, że jest pani wyjątkowo bezpośrednią osobą - zauważył, sięgając po słuchawkę. - Hazel, proszę o kanapki i kawę dla panny Gibson i dla mnie - powiedział do telefonu.

- Nie widzę w tym nic złego - odpowiedziała Brianna, mając na myśli uwagę, jaką poczynił na jej temat. - Nie cierpię zagadek, panie Landris, a zdaje się, że jakimś cudem zostałam wplątana w wyjątkowo tajemniczą sprawę.

Nie miała już najmniejszych wątpliwości, nie nastąpiła żadna pomyłka co do adresata listu, jaki otrzymała poprzedniego dnia, a skoro nie była to pomyłka, chciała jak najprędzej się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Bardzo mi przykro, naprawdę nie chcieliśmy pani zaniepokoić.

- Ale o co chodzi, panie Landris?

- Zanim przejdziemy do sedna sprawy, musimy załatwić pewne formalności... O, Hazel. - Przerwał na widok recepcjonistki, która właśnie zjawiła się w gabinecie, niosąc tacę z kawą i kanapkami. - Może zechce pani nalać kawy? - zaproponował Briannie.

- Nie, nie zechcę - odparowała naprawdę już zirytowana.

- Panie Landris... No nie! - prychnęła, gdy ponownie rozległo się pukanie do drzwi, po czym wszedł Nathan. - Gorzej niż na Piccadilly Circus w godzinach szczytu!

Była wprawdzie mocno zdenerwowana faktem, iż po raz kolejny im przerwano, nie uszło jednak jej uwagi, iż Nathan wydawał się kompletnie zaskoczony jej widokiem, co znaaczyło, iż nie miał pojęcia, że jego ojciec telefonował do niej poprzedniego wieczoru.

- Nie widzisz, że jestem zajęty, Nathanie? - przywitał go chłodno ojciec.

- Nic mi nie wspominałeś, że masz się dziś spotkać z Brianną - odparł tamten z wyrzutem, nie ruszywszy się nawet o krok.

- Chyba nie muszę cię o wszystkim informować, prawda?

- A ty nie przedstawiłeś mnie wczoraj swemu ojcu, Nathanie - wtrąciła się Brianna, która przez moment miała wrażenie, że w ogóle zapomnieli o jej obecności.

- Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? - Nathan zwrócił się do ojca, zignorowawszy jej uwagę.

- Nie widzę takiej potrzeby - rzekł Landris senior. - Poza tym jestem w trakcie poufnego spotkania z moją klientką, więc...

Brianna odwróciła się gwałtownie. Z klientką? A od kiedy to była klientką Petera Landrisa? O ile wiedziała, klientem adwokata można było zostać, gdy się szukało u niego porady, natomiast ona zjawiła się tu nie dlatego, że chciała skorzystać z usług prawnika, ale dlatego, iż prawnik nie wiedząc czemu skontaktował się z nią. Poza tym nigdy nie byłoby jej stać na opłacenie któregośkolwiek z nich, więc jeśli mieli zamiar

przedstawić jej rachunek za obydwie wizyty, czekało ich niemałe rozczarowanie.

- Zostawiam panów samych, żebyście mogli dojść do porozumienia - oznajmiła, podnosząc się. - Proszę przysłać mi jeszcze jeden list, w którym wyjaśni pan, o co w tym wszystkim chodzi, panie Landris - zwróciła się do starszego mężczyzny, bo przecież dopiero co twierdził, iż jest ona jego klientką. - Proszę mi wybaczyć, ale nie mam czasu.

- Miałaś rację, Nathanie - odezwał się Landris senior, gdy szła w kierunku wyjścia. - Brianna jest równie uparta i stanowcza, jak jej matka.

Zamarła w pół kroku, po czym odwróciła się w jego kierunku.

- Moja matka? Zna pan moją matkę? - zapytała powoli, z niedowierzaniem.

- Tak - odparł krótko. - Nathanie, pomóż Briannie dojść do krzesła, zanim nam tu upadnie na środku gabinetu - zwrócił się do syna.

Była tak zszokowana tą wiadomością, iż nie do końca zdawała sobie sprawę, że silne męskie ramię prowadzi ją z powrotem w kierunku biurka.

- Mówi pan o mojej biologicznej matce? - upewniła się.

Wprawdzie ojciec podejrzewał, że właśnie o nią może chodzić, ale teraz, kiedy Brianna już miała tę pewność, zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

. - Oczywiście - odparł Peter Landris, wyjmując z szuflady papierową teczkę. - Miałem zamiar...

- Tato! - przerwał mu ostro Nathan. - Przecież zanim pokażesz dokumenty, powinieneś sprawdzić...

- Nathanie! - zawołał ostrzegawczym tonem jego ojciec.

- Nie mów mi, jak mam wykonywać swoje obowiązki! Wiem doskonale, co powinienem zrobić. Rebeka była moją klientką, co automatycznie powoduje, że jest nią również Brianna.

.- Rebeka to moja matka? - dopytywała się Brianna, której nic a nic nie obchodził spór między Landrisami.

Szczerze mówiąc, wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć jeszcze cokolwiek na ten temat. Jej matką była Jean Gibson, to ona pielęgnowała ją w niemowlęctwie, przytulała, gdy Brianna zrobiła sobie krzywdę, niepokoiła się, gdy po raz pierwszy poszła do szkoły, pomogła jej przetrwać pierwszy miłosny zawód, świętowała pomyślne zdanie egzaminów. Jo Jean była jej matką. Dlatego tak na dobrą sprawę nie interesowało jej, jak biologiczna matka miała na imię ani też, jaką była kobietą.

- Rebeka była pani matką - uściślił Peter Landris.
- Była? To znaczy, że nie żyje?
- Niestety, moja droga, Rebeka...
- Nie chcę nic wiedzieć. - Nie pozwoliła mu dokończyć, czując podświadomie, że gdy tylko usłyszy prawdę, jej życie ulegnie nieodwracalnej zmianie. - Kimkolwiek była ta Rebeka, na pewno nie była moją matką!

Wiedząc, że jej biologiczna matka nie żyje, nie odczuwała praktycznie nic, żadnego smutku, żadnego poczucia straty. Nigdy nie spotkała tej Rebeki, dla niej po prostu nigdy nie istniała.

- To nie takie proste, Brianno - odezwał się łagodnym głosem Landris senior.

- Owszem, bardzo proste - wpadła mu w słowo. - Moja matka zostawiła mnie, więc teraz mogę zrobić dokładnie to samo.

- Za bardzo upraszczasz sprawę.
- Wcale nie - upierała się. - Jeśli rodzic porzuca swe dziecko, ma ono prawo, aby później także porzucić rodzica.
- Nathanie, czy mógłbyś wreszcie zamknąć drzwi? - zirytował się Peter Landris. - To niesłuchanie delikatna sprawa, nie chcę, żeby wszyscy w biurze o niej słyszeli.

Nathan posłusznie zamknął drzwi.

- Powinnaś wysłuchać mojego ojca, Brianno - poradził spokojnie. - Być może pod koniec tej rozmowy dowiesz się, że jesteś bardzo bogatą kobietą.

Posłała mu pełne wyższości spojrzenie. Jak mógł się nie domyślić, że w tej sytuacji pieniądze nie mają dla niej żadnej wagi? Może to dlatego, iż sam pochodził z niesłuchanie bogatej rodziny, więc nie mógł sobie wyobrazić, że dla kogoś pieniądze mogłyby się nie liczyć.

- Nie interesuje mnie to. - Wzruszyła ramionami. - Mam już rodzinę, nie potrzebuję innej.

- O ile wiem, twoja przybrana matka już nie żyje - stwierdził ni z tego, ni z owego Peter Landris.

- A co to ma do rzeczy? - zachnęła się Brianna. - Jak się okazuje, moje obydwie matki nie żyją i, proszę mi wierzyć, wiem, którą mam opłakiwać. Ta druga, Rebeka, nic dla mnie nie znaczy. Ani ona, ani pieniądze, które mi zostawiła. Skoro przez dwadzieścia jeden lat nie zadała sobie nawet trudu, żeby mnie odszukać, chyba zrozumiałe, że wiadomość o jej śmierci mało mnie porusza.

- Ale twoja matka nie umarła niedawno - sprostował spokojnie Peter Landris. - Rebeka zmarła przed dwudziestu jeden laty.

Brianna aż zaniemówiła z wrażenia. Przez całe swe życie

czuła się kochana przez swych przybranych rodziców, tak że nigdy nie przeszło jej przez myśl, by odszukać swą prawdziwą matkę. Zakładała, że skoro kiedyś ją odrzuciła, teraz uznałaby jej nagłe pojawienie się za niewygodne lub krępujące. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że jej biologiczna matka po prostu umarła wiele lat temu.

- Jaka była przyczyna śmierci? - zapytała cicho.

- Chodzi ci o przyczynę śmierci wymienioną w akcie zgonu? - odpowiedział pytaniem na pytanie Peter Landris.

Spojrzała na niego z uwagą. Z tonu jego głosu wynioskowała, że istnieje jakaś rozbieżność między tym, co napisano w akcie zgonu, a faktyczną przyczyną śmierci Rebeki.

- Zwykle jest ona zgodna z prawdą - zauważyła sucho.

- Ale nie w tym przypadku. Nie spotkałem się jeszcze z tym, by wymieniono złamane serce jako przyczynę śmierci.

- W jego głosie dała się słyszeć wyraźna nuta goryczy.

- Tato, jesteś w to za bardzo zaangażowany - wtrącił się Nathan, podchodząc ku niemu. - Poza tym wystraszyłeś Briannę.

Mylił się, nie była wystraszona, lecz skołowana, nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Skoro jej matka umarła przed dwudziestu jeden laty, wynikało z tego, iż wydarzyło się to niedługo po narodzinach Brianny. Ale jeśli zmarła w wyniku komplikacji poporodowych, czemu dziecko nie zostało adoptowane przez krewnych?

- Przepraszam cię, Brianno - westchnął ciężko Landris senior. - Ciągłe nie mogę się pogodzić z tą stratą! - Pokręcił głową w zamyśleniu. - Masz rację, Nathanie, jestem za bardzo zaangażowany w tę sprawę, ale... Ale kiedy zobaczyłem

Brianę, wspomnienia odżyły. Jesteś taka podobna do matki.

- Przeniósł spojrzenie na siedzącą naprzeciw niego Brianę.

Wnioskując z jego zachowania, bardzo dobrze znał Rebe-
kę... jej matkę.

- Kto był moim ojcem?

- Twoja matka odmówiła podania jego nazwiska.

- Trudno mi uwierzyć, że nikt nie miał żadnych podej-
rzeń - stwierdziła z powątpiewaniem.

- Nie wydawałoby ci się to takie dziwne, gdybyś znała
Gilesa. - Peter Landris skrzywił się.

- A kim jest Giles? - Brianna powoli traciła cierpliwość,
zmuszona wyciągać z nich kawałek po kawałku elementy
układanki, a raczej zagadki, której rozwiązanie wciąż pozo-
stawało dla niej tajemnicą.

- Twój dziadek, ojciec Rebeki - wyjaśnił Nathan. - Re-
beka bała się go jak ognia.

- A więc ty też znałeś moją matkę? - zwróciła się do
niego z niedowierzaniem, obliczyła bowiem, że przed dwu-
dziestu jeden laty Nathan był zaledwie czternastolatkiem.

- Owszem - potwierdził. - Była starsza ode mnie o czte-
ry lata.

- A więc moja matka... to znaczy Rebeka miała tylko
osiemnaście lat, gdy mnie urodziła... i kiedy umarła?

Nie do wiary! Przecież była właściwie jeszcze dzieckiem.
W ciągu tych krótkich osiemnastu lat poznała, co to miłość,
macierzyństwo, ból miłosnego rozczarowania.

- Obawiam się, że postępujemy wyjątkowo nieprofesjo-
nalnie - stwierdził Nathan, spoglądając z wyrzutem na ojca.
- Zgodnie z wymogami powinniśmy najpierw potwierdzić
twoją tożsamość i dopiero później...

- Brianna jest bez wątpienia córką Rebeki - przerwał mu stanowczo Peter Landris.

- Zgadzam się - przyznał jego syn. - Byłem tego pewny, gdy tylko zobaczyłem ją wczoraj w recepcji.

- I nie pisałeś na ten temat ani słowem! - zachnęła się.
- Robiłeś wszystko, żeby opóźnić moment, gdy dowiem się prawdy o sobie! Czy nie wystarczy już, że minęło aż dwadzieścia jeden lat? - Spoglądała oskarżycielsko to na jednego, to na drugiego. - Nathanie, zdaje się, że wiesz wszystko o tym, co się wydarzyło przed laty, chcę, żebyś mi o tym opowiedział.

- Ale Rebeka była moją klientką! - zaprotestował Landris senior.

- Rebeka nie żyje - zauważyła chłodno. - Chcę usłyszeć to od Nathana.

Przynajmniej on zdawał się być w stanie przekazać jej to wszystko bez zbędnych emocji.

- Pozwolisz, tato?

- Proszę bardzo - ustąpił ojciec. - Rzeczywiście tak będzie lepiej. Ujrzenie Brianny było dla mnie dużym szokiem, zupełnie jakbym zobaczył ducha.

- Proszę się napić zimnej kawy i zjeść na wpół suchą kanapkę - poradziła z właściwym sobie ironicznym poczuciem humoru, po czym nalała mu filiżankę kawy. - Nathanie? - ponagliła.

- Musimy zacząć od twoich dziadków... - rozpoczął, usiadłszy w stojącym nieopodal fotelu.

- Rodziców Rebeki? - uściśliła.

- Pójdzie mi dużo szybciej, jeśli nie będziesz przerywała - mruknął.

Miał rację. Choć w miarę punktualny powrót do pracy nie wydawał jej się w tej chwili najważniejszy, nie sposób było nie zauważyć, że czas ucieka.

- Przepraszam. Kontynuuj - poprosiła.

- Joanne i Giles, twoi dziadkowie, pochodzili z różnych środowisk - ciągnął. - Joanne była córką bardzo bogatego człowieka, zaś Giles pracował na roli. Pomimo tych różnic zakochali się i wzięli ślub, zaś rok później na świat przyszła jedyna córka, Rebeka. Ich małżeństwo, mimo że zaczęło się romantycznie, nie było udane. Gilesowi szybko przestało się podobać, że to żona jest właścicielką całego ich majątku, poza tym niespecjalnie przepadał za córką, która, jak mu się zdawało, przywłaszczyła sobie całą miłość i uwagę matki.

- W akcie zgonu Joanne też powinno się wpisać złamane serce jako przyczynę śmierci - wtrącił Peter Landris.

Nathan posłał ojcu ostrzegawcze spojrzenie.

- W wieku ośmiu lat Rebeka została posłana do szkoły z internatem - podjął przerwany wątek. - Jej matka nigdy nie mogła się z tym pogodzić.

- A wakacje? - wpadła mu w słowo Brianna.

- Owszem, przyjeżdżała do domu, tyle że Giles zawsze robił wszystko, by znaleźć się wtedy wraz z żoną za granicą - odpowiedział jej Landris senior. - Rebeka zostawała w domu z gosposią. W ten sposób Joanne przez trzy lata prawie nie widziała córki.

- Ależ to okrutne! - zawołała wstrząśnięta Brianna. - Jak tak można?!

- Czy mogę kontynuować? - zapytał Nathan chłodno, unosząc przy tym z niezadowoleniem brwi.

- Ale to wszystko jest jak z wiktoriańskiej powieści. -

Pokręciła z niedowierzaniem głową. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł tak traktować żonę i córkę niespełna czterdzieści lat temu.

- Nie? W takim razie powinnaś parę razy wybrać się do sądu - mruknął Nathan.

- Ale przecież to Joanne zarządzała ich pieniędzmi, to chyba dawało jej jakąś swobodę - zauważyła.

- Giles był ojcem Rebeki i kiedy trzeba było, przypominał o tym Joanne - stwierdził Peter Landris. - Zapewniam cię, że Joanne była silną kobietą, ale miała jedną słabość, a mianowicie córkę.

Brianna sama nie wiedziała, co jest gorsze: fizyczna przemoc, czy też szantaż emocjonalny.

- Co dalej? - spytała cicho, przerażona tym, czego może się jeszcze dowiedzieć o swej biologicznej rodzinie. Kto wie, być może Rebeka oddała jej największą przysługę, trzymając ją z daleka od tych ludzi?

- Gdy Rebeka miała trzynaście lat, jej matka zmarła - ciągnął Nathan. - W wyniku wypadku samochodowego - dodał szybko, widząc przerażenie w oczach Brianny. - Od tej chwili została tylko z ojcem, który oczywiście nie zabrał jej ze szkoły i zawsze był nieobecny, gdy wracała do domu na wakacje.

Brianna współczuła Rebecce z całego serca, bowiem jej własne dzieciństwo było jednym wielkim pasmem szczęścia, nigdy nie zaznała odrzucenia, wręcz przeciwnie, czuła się kochana i potrzebna.

- Jak było do przewidzenia, Rebeka za wszelką cenę pragnęła być kochana, więc gdy trochę podrosła, zaczęła się wiązać z różnymi mężczyznami, z których żaden nie był jej

wart - kontynuował ze smutkiem Nathan. - Giles nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia, nie mógł jej nic zrobić, niczego jej odebrać, bo nigdy nic jej nie dał.

- Lubiłeś moją matkę, prawda? - domyśliła się Brianna.

- Trudno jej było nie lubić. - Uśmiechnął się w zamyśleniu. - Była wesoła, pełna energii, piękna. To też przyciągało do niej mężczyzn.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Rebeka była... nieprzyzwoita? - Zmarszczyła brwi.

- Oczywiście, że nie. Po prostu nie zawsze kochała najmądrzej.

- Na przykład w przypadku mojego ojca, tak? - podsunęła. - Czyżby był już żonaty?

- Nie wiemy. - Rozłożył ręce. - Może jej list do ciebie coś wyjaśni- Posłał ojcu znaczące spojrzenie.

W ciągu kilkunastu minut poznała historię życia swej matki, pokonała swą niechęć do niej, poczuła współczucie i sympatię wobec niej i jej matki, nawet wobec Gilesa, który musiał być szalenie niepewnym siebie mężczyzną, skoro zachowywał się w taki sposób. Mogła tego słuchać, współczuć, smuć się, wciąż traktując tę historię jako opowieść o kimś, z kim nie miała nic wspólnego. Ale list? List napisany do niej przez matkę? To już było coś zupełnie innego. Nie chciała go czytać, nie mogła.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dziękuję panom za te cenne informacje. - Podniosła się nagle. - Teraz już wiem mniej więcej, kim była moja matka i jej rodzina. - Ruszyła ku wyjściu.

- A ty dokąd? - zdumiał się Peter Landris.

- Muszę wracać do pracy - wyjaśniła, nie zatrzymując się nawet na moment.

- Ale...

- Odwiozę cię - zaofiarował się Nathan.

- Przecież jeszcze nie skończyliśmy - protestował jego ojciec. - Musimy omówić kwestię śmierci Rebeki i spadku, jaki otrzymała Brianna.

- Brianna dość już dziś usłyszała - przerwał mu syn.

- Odwiozę cię - powtórzył.

- Jestem pewna, że masz wystarczająco dużo zajęć - stwierdziła, chcąc jak najszybciej znaleźć się z dala od obydwu Landrisów. - Pojadę autobusem albo wezmę taksówkę.

- Nie jestem zajęty - odparł, po czym ujął ją za ramię.

- Autobus jeździ nieregularnie, a nie ma sensu wydawać pieniędzy na taksówkę, skoro zaproponowałem, że cię odwiozę, prawda?

Ustała, bez słowa przysłuchując się poleceniom, jakie Nathan wydawał Hazel, a następnie jego rozmowie z siwłosłym mężczyzną, którego spotkali w korytarzu. Nieznajom-

my przypatrywał jej się z uwagą, podobnie jak Peter Landris poprzedniego dnia. Jeszcze jeden, który rozpoznał w niej córkę Rebeki? Czuła się nieswojo, wiedząc, że jest podobna do kogoś, kogo nigdy nie widziała na oczy i kogo już nie miała szansy zobaczyć.

- To był mój wuj, Roger Davis - wyjaśnił Nathan, gdy szli przez parking w kierunku samochodu. - Mąż siostry mojej matki.

I wspólnik Petera Landrisa. Rzeczywiście, była to firma ściśle rodzinna. Co ważniejsze, cała rodzina Landrisów zdawała się wiedzieć sporo o jej matce oraz jej bliskich.

Gdy wsiedli do ciemnozielonego jaguara, Brianna podała nazwę i adres szpitala, w którym pracowała, po czym w milczeniu obserwowała, z jaką łatwością i spokojem Nathan prowadzi auto zatłoczonymi ulicami Londynu.

- Może zjemy dziś razem kolację? - zaproponował ni z tego, ni z owego, czym kompletnie ją zaskoczył.

- Dlaczego? - wypaliła.

Zerknął na nią z zaciekawieniem.

- Czy zwykle tak reagujesz, gdy mężczyzna zaprasza cię na kolację?

- Nie. - Uśmiechnęła się mimo woli. - Ale to nie było zwykle zaproszenie.

- Zapewniam cię, że tak.

- Tak? - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Oczywiście - potwierdził. - Chyba że w twoim życiu jest ktoś, komu mogłoby to się nie spodobać.

- Nie, aktualnie nie ma - odparła, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego go to interesowało.

Jej ostatni związek umarł śmiercią naturalną przed trzema

miesiącami, gdyż Jim, młody lekarz, z którym się spotykała, pracował w nocy, ona zaś w ciągu dnia, więc nie mieli się kiedy widywać.

- W takim razie zjesz dziś ze mną kolację? - powtórzył pytanie.

Ale dlaczego? Nie wyglądał na osobę impulsywną, która ot, tak sobie szafowała by zaproszeniami na kolację, a trudno było jej uwierzyć, że nic się za tą propozycją nie kryło.

- A czy jest w twoim życiu ktoś, komu mogłoby się to nie spodobać? - zacytowała z uśmiechem.

- Nie, aktualnie nie ma - odzajemnił się.

Spodziewała się takiej odpowiedzi, nie dlatego, że uważała go za mało atrakcyjnego - wręcz przeciwnie - ale dlatego, iż nie sprawiał wrażenia mężczyzny, który zapraszałby na kolację jedną kobietę, będąc związany z inną.

- W takim razie przyjmuję zaproszenie.

- Świetnie, przyjadę po ciebie o ósmej. Adres znajdę w naszych papierach.

Oczywiście, jak mogła zapomnieć, że posiadali o niej taką wiedzę, jakiej nawet ona nie miała na swój temat. Nie chciała czytać tego listu, ale mimowolnie zastanawiała się, co też Rebeka chciała powiedzieć córce, gdy ta ukończy dwadzieścia jeden lat? Czy kochała swe dziecko, choć tak bardzo skomplikowało jej życie? Czy może wyjawiała w liście, kto był ojcem Brianny? A może sama tego nie wiedziała?

Zresztą, czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Przecież minęło tyle lat.

- On jeszcze żyje - wyrwał ją z zamyślenia Nathan.

- Kto?

- Twój dziadek, Giles - wyjaśnił.

Nie do wiary! Człowiek, który uczynił z życia jej babki i matki prawdziwe piekło, ciągle chodził po tym świecie, choć one już dawno zmarły! Było to wyjątkowo niesprawiedliwe, biorąc pod uwagę, ile zła Giles wyrządził swej rodzinie.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - Nathan zmarszczył brwi. - Powiedziałem...

- Słyszałam - przerwała mu ostro. - Dziękuję za podwiezienie - zmieniła temat, korzystając z tego, że właśnie zajęli przed szpital. - Do zobaczenia wieczorem. - Przywołała na twarz uprzejmy uśmiech.

Nathan wyłączył silnik, po czym powoli odwrócił się ku niej i niespodziewanie ujął jej dłoń.

- Nie martw się, wkrótce poczujesz się lepiej - zapewnił serdecznym tonem. - Musi tylko minąć pierwszy szok.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle kiedykolwiek minie. - Roześmiała się gorzko. - Ojej! - zawołała, spojrzawszy na zegarek. - Jestem spóźniona pół godziny!

Koleżanka, która została na tak długo sama na posterunku, niewątpliwie traciła już cierpliwość.

- W takim razie do zobaczenia dziś o ósmej.

Brianna pobiegła do szpitala, nie odwróciwszy się za siebie ani razu, choć wiedziała, że jaguar jeszcze nie odjechał. Wciąż czuła ciepły dotyk ręki Nathana na swej dłoni i martwiło ją to niepomiernie, bo przecież jej życie już i tak wystarczająco się skomplikowało, więc nie potrzebowała dodatkowych problemów w postaci zauroczenia Nathanem Landrisem.

- Zdaje się, że to straszny człowiek - orzekł ojciec Brianny, gdy opowiedziała mu o Gilesie.

Siedzieli przy kuchennym stole i popijali kawę. Ojciec

właśnie skończył kolację, którą tym razem zmuszony był jeść sam, gdyż Gary chwycił coś w biegu i wyszedł na spotkanie z przyjaciółmi, zaś Brianna wybierała się niedługo na kolację z Nathanem Landrisem.

Znalazłszy się ponownie w rodzinnym domu, miała wrażenie, że wszystko, co tego dnia usłyszała o Gilesie, Joanne i Rebecce, było tylko snem.

- Czy masz zamiar go odwiedzić? - zapytał z wyraźnym napięciem ojciec.

- Oczywiście, że nie! - zapewniła. - Nie czuję takiej potrzeby. Nie wydaje mi się, żeby był sens wracać do tego, co należy już do przeszłości.

Opowiedziała ojcu dokładnie o swej rozmowie z Landrisami, pominęła tylko milczeniem list Rebeci. Miała wyrzuty sumienia, że zataiła przed nim ten fakt, ale nie chciała o tym mówić, ponieważ jeszcze nie podjęła decyzji, co zrobi w kwestii listu. Wiedziała, że choć ojciec nie był zachwycony faktem, że przeszłość tak nagle wtargnęła w ich życie, będzie ją nakłaniał do przeczytania listu. W końcu, chyba był czymś w rodzaju przesłania od jej nieżyjącej matki.

- Czemu w takim razie idziesz dziś na kolację z Nathanem Landrisem?

- Ja... - Zarumieniła się. - To nie ma nic wspólnego ze sprawą Rebeci.

Przynajmniej dla niej nie miało, ale nie mogła wypowiadać się w imieniu Nathana, bo wcale nie była pewna, jakie motywy nim kierowały, gdy ją zapraszał.

- Nie? - Ojciec zerknął na nią z niedowierzaniem. - A o czym będziecie rozmawiać? Szczerze mówiąc, trudno mi jest wyobrazić sobie, że znajdziecie jakiś wspólny temat.

- Nie martw się, na pewno znajdziemy - zapewniła z łobuzerskim uśmiechem. - Nie czekaj na mnie, mogę wrócić późno. - Pochyliła się, by pocałować go w policzek.

Mimo to, nie była wcale taka pewna, czy będzie miała o czym rozmawiać z Nathanem podczas tej kolacji. Nie przypuszczała, by mieli ze sobą cokolwiek wspólnego poza sprawą Rebeki, a tego tematu zdecydowanie nie zamierzała podejmować.

Jak się później okazało, zupełnie niepotrzebnie się niepokoiła, gdyż Nathan okazał się doskonałym rozmówcą. Szybko odkryli, że obydwójce pasjonują się golfem, więc Nathan opowiedział jej kilka zabawnych historyjek, związanych z tym sportem, ona zaś zrewanżowała się wspomnieniami z wypraw na pole golfowe, odbywanych co jakiś czas wraz z ojcem, zapalonym graczem.

- Może kiedyś zagramy razem? - zaproponował ni z tego, ni z owego Nathan.

- Co takiego? - bąknęła zdezorientowana, jako że przez ostatnie kilka minut przypatrywała mu się, gdy z zacięciem opowiadał kolejną anegdotkę.

- Miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się skupić na sobie twoją uwagę - roześmiał się. - Nie słuchałaś, prawda?

Owszem, nie słuchała, ale tylko i wyłącznie z jego winy, bo łatwiej byłoby jej skupić się na tym, co mówił, gdyby nie wyglądał tak oszałamiająco w smokingu i śnieżnobiałej koszuli. W dodatku nie nosił tym razem okularów, więc spostrzegła, że jego jasnoniebieskie oczy okolone są wyjątkowo długimi rzęsami.

- Zastanawiałam się po prostu, co stało się z twoimi oku-

larami - rzuciła bez namysłu, bo przecież nie mogła mu powiedzieć, o czym tak naprawdę myślała.

- Czyżby? - Przyjrzał jej się podejrzliwie, jak gdyby domyślał się, że próbuje go nabrać. - Używam ich tylko do czytania.

- I do prowadzenia samochodu - uzupełniła, pamiętała bowiem, że miał na nosie okulary, gdy odwoził ją do szpitala.

Szkoda, że nie nosił ich w tej chwili, gdyż w okularach zdawał jej się mniej przystępny, a więc także mniej niebezpieczny.

- Właściwie nie. - Skrzywił się.

- Ale... - chciała zaprotestować.

- Zapomniałem je zdjąć, gdy razem z tobą wychodziłem dziś z biura.

Czyżby rozmowa, która się tam odbyła, aż tak go poruszyła? Nie bardzo rozumiała dlaczego, ale wyglądało na to, że Nathan Landris nie był aż tak oschły i sztywny, jak jej się poprzedniego dnia wydało.

- Bardzo chciałabym zagrać kiedyś z tobą w golfa - z uśmiechem wróciła do poprzedniego tematu. - Choć muszę cię ostrzec, że ojciec zabierał mnie ze sobą na pole golfowe, odkąd byłam wystarczająco duża, by utrzymać kij.

Od kiedy sięgała pamięcią, golf był zawsze ulubioną rozrywką ojca, który w ten sposób odpoczywał po ciężkim dniu pracy w szpitalu.

- W takim razie może powinienem również zaprosić twojego ojca. - Uśmiechnął się. - Nie chciałbym pozbawiać go tak dobrej partnerki.

Brianna nie była pewna, czy to najlepszy pomysł. Obaj mężczyźni spotkali się na krótko tego wieczoru i choć nie-

wiele zostało powiedziane, odniosła wrażenie, że ojciec nie miał specjalnie ochoty kontynuować tej znajomości. Zresztą trudno mu się dziwić, to przecież za sprawą Landrisów ostatnio zawisły nad ich życiem rodzinnym czarne chmury.

- Mój ojciec jest wyjątkowo zajęтым człowiekiem.

- A w dodatku specjalnie za mną nie przepada - uzupełnił Nathan.

- To nie to... - zaczęła, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć.

- Wcale go za to nie winię, Brianno - pospieszył z zapewnieniem. - Gdybym był na jego miejscu, też bym sobie nie życzył, żeby ktoś taki, jak ja, kręcił się wokół mojej córki.

- Trochę to zagmatwane, ale rozumiem, o co ci chodzi.

- Roześmiała się.

- Wiesz... - szepnął, wpatrując się w nią intensywnie.

- Kiedy się śmiejesz...

- Wyglądam dokładnie tak samo, jak Rebeka - dokończyła.

To bez sensu, czuła ukłucie zazdrości z powodu kobiety, która nie żyła już od ponad dwudziestu lat! Może nie była to zazdrość w pełnym tego słowa znaczeniu, ale trudno jej było przejść obojętnie nad faktem, że wszyscy mężczyźni, którzy znali Rebeke, nie wyłączając Nathana, byli nią zafascynowani.

- Wcale nie to chciałem powiedzieć - odparował.

- Nie?

- Oczywiście, że nie... - Przerwał, gdyż kelner właśnie przyniósł ich zamówienie. - Wyjašnjmy sobie jedną rzecz, Brianno. Nie zaprosiłem cię tu ze względu na sprawę Rebeki.

Szczerze mówiąc, wolałbym nawet, żebyś nie była jej córką. Dlatego nie zamierzam rozmawiać na jej temat.

- Doskonale - odparła, patrząc mu prosto w oczy, żeby nie myślał, że wystraszyła się jego stanowczego tonu.

- Świetnie - mruknął, ze złością dziobiąc widelcem na talerzu krewetki.

Brianna przypatrywała się temu przez chwilę, z trudem panując nad sobą, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Nathanie, uspokój się i przestań atakować te biedne krewetki, które nic złego ci nie zrobiły - zbeształa go. - Nie wiem, jak ty, ale ja nie jadłam nic od śniadania, więc umieram z głodu.

Rzucił jej chmurne spojrzenie, które w końcu jednak ustąpiło miejsca uśmiechowi.

- Jesteś najbardziej irytującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, Brianno Gibson - oznajmił wreszcie, kręcąc głową.

- To dobrze - ucieszyła się. - Wolę być irytująca niż nijaka.

- Nie martw się, nie grozi ci, żebyśmy cię kiedykolwiek obdarzył tym epitetem.

- Ale inne by się znalazły? - domyśliła się, z apetytem zajadając przystawki.

- Być może - mruknął.

- Mimo wszystko masz w sobie coś z człowieka, wiesz? - zachichotała. - Nie byłam tego taka pewna, gdy cię wczoraj zobaczyłam po raz pierwszy.

- Jak sądzę, rozsądnie byłoby nie dopytywać się, co konkretnie masz na myśli.

- Pewnie tak - przyznała wesoło. - Powiedz mi w takim

razie, skoro nie chcesz rozmawiać o mojej matce, po co mnie w ogóle zaprosiłeś na tę kolację?

Próbował właśnie wyłuskać krewetkę ze skorupki, ale tak go zaskoczyła swym pytaniem, że upuścił krewetkę z powrotem na talerz.

- A niech to! - burknął. - Poddaję się. - Zanurzył palce w specjalnie do tego celu przygotowanej miseczce z ciepłą wodą. - Przez ciebie nic dziś nie zjem.

Nie odpowiedział na jej pytanie i nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie uda jej się wydobyć z niego jakiegokolwiek wyjaśnienia. Pochyliła się więc i sprawnie wydobyła krewetkę ze skorupki.

- Proszę bardzo. - Położyła ją z powrotem na talerzu, po czym wzięła się za kolejną. - Założę się, że ty też dziś nie jadałeś obiadu.

- Czy zawsze jesteś taka...? - Szukał odpowiedniego słowa.

- Taka apodyktyczna? - uzupełniła ze śmiechem. - Być może.

- Chciałem powiedzieć bezpośrednio - wyjaśnił, sięgając po krewetkę. - Ale apodyktyczna też pasuje. - Uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Czy w domu jest więcej takich jak ty? - wypaliła, nie chcąc dać po sobie poznać, jak ogromne wrażenie zrobił na niej ten jego uśmiech. - To znaczy masz braci albo siostry? - poprawiła się zawstydzona.

- Wiem, co chciałaś przez to powiedzieć, Brianno - odparł. - Nie, nie ma więcej takich, jak ja, jestem jedynakiem. Zazdroszczę ci, masz brata, a ja zawsze byłem sam. Odkąd pamiętam, matka była zdania, że jeden poród w życiu to i tak

za dużo. - Skrzywił się. - Dała ojcu syna i spadkobiercę, więc uznała, że już wypełniła swój obowiązek.

W jego słowach czaiła się gorycz, która wiele powiedziała Briannie na temat wpływu, jakie słowa matki miały na postawę Nathana. Pewnie właśnie z tego powodu był taki sztywny i dystansował się od innych, nic dziwnego, skoro przez całe życie był właściwie sam.

- Mój ojciec mówi, że większość kobiet tak uważa po pierwszym dziecku, ale potem im przechodzi - powiedziała. - Jest ginekologiem-położnikiem - wyjaśniła, pochwywszy jego pytające spojrzenie. - Cóż za ironia, że wybrał właśnie tę specjalizację, biorąc pod uwagę trudności, jakie miał z mamą... nie mogła zająć w ciąży.

- Dlaczego? - Wzruszył ramionami. - Wielu lekarzy wybiera konkretną specjalność, dlatego że ktoś w ich rodzinie choruje akurat na taką chorobę, którą się ta wybrana dziedzina zajmuje.

- Czy z prawnikami jest podobnie? - zapytała, myjąc ręce w miseczce z wodą. - To znaczy, czy zajmują się prawem dlatego, że ktoś w ich rodzinie jest oszustem i trzeba go wybronić przed wyrokiem? - zażartowała.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób - odparł sztywno.

- Naprawdę? Czyżbym znów była nazbyt bezpośrednia? - zakpiła. - Daj spokój, Nathanie, przecież życie jest zbyt poważne, żeby je traktować całkiem na serio. Jeśli nie nauczysz się z niego śmiać, zginiesz pod nawałem problemów.

- Jakoś nie zauważyłem, żebyś się śmiała dziś w gabinecie mojego ojca - przypomniał.

- Cóż, to prawda - zgodziła się. - Ale kiedyś jeszcze będę się i z tego śmiać, zobaczysz.

- Przepraszam cię. - Wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń.
- Nie powinienem był tego mówić. I pomyśleć, że przypro-
wadziłem cię tu, żeby poprawić ci nastrój.

- Ach tak, więc to dlatego mnie zaprosiłeś! - Udawała
oburzenie. - A ja myślałam, że dlatego, że mnie lubisz.

- Ależ oczywiście, że cię lubię... - zaczął się tłumaczyć,
lecz przerwał, gdy dotarło do niego, iż żartowała. - Jeszcze
nigdy nie spotkałem nikogo takiego, jak ty - oznajmił, cofa-
jąc dłoń.

- Więc jakie kobiety zwykle zapraszasz na kolację? -
zainteresowała się.

- Brianno...

- Powiedz, jestem ciekawa - prosiła.

Od wczoraj zastanawiała się, jak to możliwe, żeby wciąż
pozostawał w stanie wolnym, skoro był przystojny, bogaty
i dobrze wykształcony.

- Zwykle nie rozmawiam na pierwszej randce o innych
kobietach - bronił się.

- Ale ja nie jestem zwykłą, więc możesz spokojnie mó-
wić - zachęciła go.

- Pięć lat temu byłem zaręczony - ustąpił. - Nic z tego
nie wyszło. Od tamtej pory rzadko umawiam się z kobietami.

A więc jednak był ktoś w jego życiu. Miała ochotę spytać,
jak wyglądała i czym się zajmowała jego była narzeczona,
ale doszła do wniosku, iż tym razem nie powinna go naci-
skać, bo i tak nie przyniesie to żadnego efektu.

- W takim razie czuję się zaszczycona zaproszeniem -
odparła zgodnie z prawdą, choć miała nieodparte wrażenie,

iz Nathan powoli zaczynał żałować, że w ogóle zaproponował jej wspólną kolację.

Przyjrzał jej się uważnie, jak gdyby podejrzewał, iż kpi sobie z niego.

- Powiedziałeś: „na pierwszej randce”, czy to znaczy, że planujesz następne?

- Zapytaj mnie o to w drodze powrotnej - mruknął, gdy podawano im danie główne.

- A jeśli w drodze powrotnej w ogóle już nie będziemy ze sobą rozmawiać? - zażartowała.

- To nie w moim stylu - odrzekł szalenie poważnie. - Gdy coś mi się nie podoba, mówię to wprost.

Potrafiła sobie to wyobrazić, choć nie chciałyby się o tym przekonać na własnej skórze. Być może dlatego, że sama była otwarta, ceniła tę cechę u innych, więc taka postawa Nathana była jeszcze jednym powodem, dla którego go polubiła. Odpowiadał jej też jego gust kulinarny, który przejawiał się w wyborze restauracji, serwującej przepyszne jedzenie w eleganckim otoczeniu. Lokal ten wprawiał nawet najbardziej ponurych gości w dobry nastrój.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się, spostrzegłszy, iż Nathan wpatruje się w nią od jakiegoś czasu. - Jestem brudna na twarzy?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Myślałem tylko, że jesz w taki sam sposób, w jaki podchodzisz do życia, to znaczy z niesamowitym apetytem.

- Tak mnie wychowano. - Wzruszyła ramionami.

- Źle mnie zrozumiałeś, Brianno, uważam, że to bardzo pozytywna cecha — wyjaśnił.

Nie dało się ukryć, iż on sam był wychowany zupełnie

inaczej, wykazywał dużo większą ostrożność w swym podejściu do życia. Niesamowicie, jak wielki wpływ na postawę dziecka mają rodzice.

- Nathanie - powiedziała cicho. - Wiem, że ustaliliśmy, że nie będziemy dziś rozmawiać na temat Rebeki...

- Owszem, tak ustaliliśmy - wpadł jej w słowo, jak gdyby chciał uciąć dyskusję już na wstępie.

- Ale jest jedna rzecz, którą muszę wiedzieć - nie dała się zbić z tropu.

- Nie mogę, Brianno, to byłoby nieetyczne - stwierdził, odkładając na bok sztucce. - Jesteś klientką mojego ojca, a poza tym on jest znacznie lepiej poinformowany niż ja.

- Być może, ale jestem pewna, że i ty to wiesz, a wolałabym usłyszeć to od ciebie - prosiła. - Chcę wiedzieć, jak zmarła moja matka. Przecież miała tylko osiemnaście lat!

Jeszcze kilka godzin temu, w gabinecie Petera Landrisa, obiecywała sobie, że nigdy o to nie zapyta, że w ogóle nie będzie się tym interesować, ale coś się zmieniło od tamtej pory i zrozumiała, że musi to wiedzieć.

- Czułem, że może o to ci chodzić - jęknął. - Nie mogę.
- Pokręcił głową.

- Ależ oczywiście, że możesz. Proszę, Nathanie! - Ujęła jego dłoń. - Muszę to wiedzieć.

- Nie chodziło mi o to, że w ogóle nie mogę ci powiedzieć - uściślił. - Ale zatłoczona restauracja zdecydowanie nie jest najlepszym miejscem, aby...

- Dlaczego? - zaprotestowała. - Uważam, że to właśnie idealne miejsce.

Nie chciała, by się to odbyło gdzieś, gdzie będzie mogła pozwolić sobie na okazanie uczuć. Rebeka, zupełnie wbrew

woli Brianny, nagle stała się dla niej kimś ważnym, realnym, więc wiadomość o tym, jak zmarła, mogła spowodować ogromny szok.

- Naprawdę wolałbym, żeby to mój ojciec ci powiedział.

- Ale ja nie chcę tego usłyszeć od niego! - upierała się.

- Brianno, naprawdę nie mam ochoty o tym mówić - bronił się Nathan.

- Ale powiesz, prawda? - domyśliła się.

Widać było, że przez dłuższą chwilę toczył wewnętrzną walkę, aż wreszcie skinał z rezygnacją głową.

- Dobrze - westchnął, po czym ujął ją za rękę. - Poród odbył się bez komplikacji, więc jeśli zamartwiasz się, że to przez ciebie, natychmiast wybij to sobie z głowy.

- W takim razie dlaczego?

- Przez dwa miesiące po twych narodzinach Rebecca porządkowała wszystkie swoje sprawy, dokończyła proces adopcyjny, spisała testament i dwa dni po przekazaniu cię Gibsonom... - urwał.

. - Co się stało? - wyszeptała drżącym głosem, przeczuwając najgorsze.

- Dwa dni później po prostu weszła pod nadjeżdżający pociąg - dokończył cichym głosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Idziemy stąd - zarządził Nathan, spostrzegłszy, jak po-
bladła.

Brianna nie widziała, co się wokół niej dzieje, ledwo była
świadoma tego, że ujął ją pod ramię i wyprowadził na ze-
wnątrz, po czym pomógł wsiąść do samochodu.

Nie mogła uwierzyć, że Rebeka odebrała sobie życie.
Właściwie powinna była się tego spodziewać, ale nawet jej
to przez myśl nie przeszło! Dlaczego?

- Tylko Rebeka mogłaby odpowiedzieć ci na to pytanie
- odrzekł Nathan, przez co zdała sobie sprawę, że wypowie-
działa to pytanie na głos. - Ale podejrzewam, że nie miała
po co żyć, gdy oddała cię do adopcji.

- W takim razie, czemu to zrobiła? - nie mogła zrozu-
mieć. - Z tego, co mi powiedzieliście, była bogata, mogła
więc z powodzeniem utrzymać siebie i mnie.

- Zapominasz o Gilesie. - Pokręcił głową. - Gdy dowie-
dział się, że jego córka jest w ciąży, tak się wściekł, że Re-
beka musiała uciec z domu i zamieszkać w Londynie. Poza
tym miała przecież zaledwie osiemnaście lat i nikogo bliskie-
go, w kim mogłaby znaleźć oparcie. Zresztą wiedziała, że
Giles prędzej czy później ją odnajdzie i albo zmusi do od-
dania dziecka, albo zabierze ją i dziecko do siebie, co

w oczach Rebeki było jeszcze gorsze... Chyba dlatego odebrała sobie życie, żeby nie dać mu powodu do triumfu, żeby nie czuł się jak zwycięzca, przywożąc ją i dziecko do domu.

To było takie nierealne, takie nieludzkie, że Brianna czuła, jak ciarki przebiegają jej po plecach.

- Nienawidzę go - szepnęła. - Nienawidzę, mimo że nie widziałam go nawet na oczy... Och, tak mi przykro!

- Wydaje mi się, że jesteś całkowicie usprawiedliwiona, biorąc pod uwagę okoliczności - zauważył łagodnie.

- Nie o to mi chodzi. Właśnie spostrzegłam, że cię skaleczyłam - wyjaśniła.

Dotknęła delikatnie jego ręki, na której widniały dwa czerwone półksiężycy, ślady wbijanych paznokci.

- To musiało cię boleć - szepnęła zawstydzona.

- Nieważne.

- Przepraszam.

Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, pochyliła się i pocałowała miejsce, w którym go skaleczyła.

- Brianno! - zawołał zdławionym głosem.

Spojrzała w jego bładoniebieskie oczy, które miały przedziwny wyraz i zbliżały się ku niej coraz bardziej i bardziej.

Minęła może sekunda, gdy jego usta znalazły jej wargi i poczęły obsypywać je czułymi, namiętymi pocałunkami, które wzruszyły Briannę do głębi. Nieświadomym gestem uniosła ramiona i oplótła nimi jego szyję, przytulając się jeszcze mocniej. Czuła, jak jego dłoń wędruje to w górę, to znów w dół jej pleców, nie nachalnie, lecz delikatnie i czule. Nie spodziewała się, że drzemie w nim tak namiętny, zmysłowy mężczyzna, odkrycie to na równi ją zaskoczyło, co ucieszyło.

Nagle wyrwał się z jej objęć, wodząc po jej twarzy nieprzytomnym spojrzeniem.

- To był błąd - wykrztusił.

Brianna czuła, że na twarzy ma purpurowe wypieki, a lekko nabrzmiałe od pocałunków wargi pulsują.

- Rzeczywiście, samochód to nie najlepsze miejsce - zgodziła się.

- Nie o to mi chodziło - odparł, po czym odsunął się jak najdalej od niej. - Zawiozę cię do domu - oznajmił, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Przyjrzała mu się z niedowierzaniem. Jeśli nie chodziło mu o to, że samochód jest niewłaściwym miejscem na takie rzeczy, w takim razie miał pewnie na myśli, że sam ich pocałunek był błędem. Owszem, może nie był to najszcześniejszy pomysł, zważywszy ich sytuację, ale bez przesady, przecież to tylko zwykły pocałunek.

Gdy zajechali przed dom Brianny, w salonie wciąż świeciło się światło, co oznaczało, że ojciec prawdopodobnie czekał na jej powrót.

- Dziękuję za zaproszenie na kolację - powiedziała, gdy się zatrzymali. - To był udany wieczór.

- Wątpię - mruknął.

- Ależ tak - zapewniła, zresztą zgodnie z prawdą.

Wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po policzku.

- Nie pozwól, żeby to wszystko cię zmieniło - poprosił. - Już wystarczy bólu, Rebeka postarała się, żebyś choć ty nie cierpiała.

- W takim razie, dlaczego mimo wszystko mnie w to wmieszała, w dodatku po tylu latach? - zastanawiała się.

- Może sądziła, że w wieku dwudziestu jeden lat będziesz dostatecznie dojrzała, by sobie z tym poradzić.

- Uważasz, że miała rację? - W jej głosie słychać było powątpiewanie.

- Mam nadzieję. Kiedy uznasz, że jesteś gotowa, umów się z moim ojcem na odczytanie testamentu - poradził.

A więc znaczyło to, iż kończyła się ich pierwsza i zarazem ostatnia randka. Brianna czuła się rozczarowana, ponieważ w ciągu tych dwóch dni bardzo polubiła Nathana, a w dodatku reagowała na niego tak, jak nigdy w życiu na żadnego innego mężczyznę. Niestety, wszystko wskazywało na to, iż on nie odwzajemniał jej zainteresowania.

- Dobrze, dziękuję za radę. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Uważaj na siebie - dodała, wysiadłszy z auta.

- Brianno!

- Tak? - Odwróciła się szybko, w nadziei, że może jednak coś sprawiło, iż zmienił zdanie.

- Ty też na siebie uważaj - wyrzucił z siebie po dłuższej chwili milczenia.

- Postaram się - wykrztusiła z trudem, nie chcąc okazać rozczarowania.

Gdy tylko znalazła się w domu, zamknęła drzwi i oparłszy się o nie plecami, dała upust łzom. Nie wiedziała tak naprawdę, czemu płacze. Nie dlatego, że Nathan pocałował ją, ponieważ bardzo jej się to podobało. Może dlatego, że nie umówił się z nią na kolejną randkę? Cóż, tak bywa, ale to nie powód, by od razu wylewać rzewne łzy. Może więc z powodu Rebeki, która w wieku osiemnastu lat nie widziała żadnej przyszłości dla siebie i córeczki, a nie potrafiła żyć bez swego maleństwa?

- Brianno? To ty? - zawołał z niepokojem ojciec, wychodząc z salonu. - Czemu tam stoisz? Płaczesz? - zaniepokoił się. - Kochanie, nie płacz - poprosił, wyciągając ku niej ramiona.

Podbiegła do niego i znalazłszy się w bezpiecznych ojcowskich objęciach, rozszlochała się na dobre.

- Rebeka... moja matka... zabiła się - wyrzuciła z siebie z niemałym trudem.

- Wiem, kochanie - odparł łagodnie. - Wiem.

- Jak to, wiesz? - Podniosła na niego zdumione spojrzenie.

- Chodźmy do salonu - zaproponował. - Tam usiądziemy sobie wygodnie i porozmawiamy.

Łagodnie poprowadził ją do salonu, gdzie na małym stoliku, obok rozłożonej książki, stała opróżniona do połowy szklanka whisky. Był to niezwykły widok, gdyż ojciec rzadko mógł sobie pozwolić na picie choćby najmniejszych ilości alkoholu - nigdy nie wiedział, kiedy przyjdzie mu jechać do którejś z pacjentek.

- To dla kurażu - odpowiedział, uśmiechając się wstydliwie. - Przygotowywałem się na tę chwilę od tygodni, odkąd otrzymałem ten list z kancelarii adwokackiej. Jean i ja zawsze planowaliśmy wspólnie porozmawiać z tobą o twojej matce, Rebecce. Odkąd umarła, nie mogłem się zebrać, żeby zacząć z tobą tę rozmowę, nie chciałem, żebyś o czymkolwiek wiedziała. Może to było samolubne z mojej strony... - zawiesił głos.

- Ależ skąd - zaprzeczyła szybko. - Rozumiem, dlaczego tak się czułeś, bo ja też z początku nie chciałam o niczym słyszeć.

Wciąż nie rozumiała, jakim cudem jej rodzice mogli poznać Rebeke, skoro zwykle przybrani rodzice nie mieli okazji spotkać biologicznych rodziców swych dzieci. Jednocześnie było jej bardzo żal ojca, że musiał przez to przechodzić sam. Małżeństwo jej rodziców zawsze było oparte na partnerstwie i obydwójce wspierali się we wszystkich przedsięwzięciach, tak że łatwiej im było stawić czoło przeciwnościom.

- Nie musimy teraz o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz - starała się go uspokoić.

- Nie, dość już tego odwlekania - zdecydował. - Powinnaś się wszystkiego dowiedzieć, bo lepiej znać całą prawdę niż jej fragmenty.

Nie mogła się z nim nie zgodzić, pamiętała bowiem, jak ciężko jej było podczas spotkania w gabinecie Petera Landrisa.

- Dwadzieścia jeden lat temu pracowałem w szpitalu na oddziale - zaczął swą opowieść ojciec. - Twoja matka była pielęgniarką w gabinecie rentgenowskim. Byliśmy wtedy od sześciu lat małżeństwem, ale wciąż, mimo usilnych starań, nie mieliśmy dziecka, tak że zaczęliśmy już dowiadywać się o procedury związane z adopcją. Przeszliśmy pozytywnie wszystkie testy i uznano nas za odpowiednich kandydatów na rodziców, musieliśmy tylko poczekać, aż pojawi się jakieś dziecko do adopcji. Wtedy właśnie do szpitala na rutynowe badania zgłosiła się młoda dziewczyna w osiemnastym tygodniu ciąży.

- Rebeka - domyśliła się.

- Tak, Rebeka - potwierdził ojciec. - Powtarzała ciągle, że najważniejsze dla niej jest, żeby jej dziecko wzrastało w szczęśliwej, kochającej się rodzinie.

- I tak się stało - zapewniła go, szczerze przekonana, że Rebeka nie mogła wybrać jej wspanialszych rodziców niż Gibsonowie.

- Dziękuję ci, kochanie - szepnął z wyraźną ulgą ojciec.
- Przez kilka miesięcy spędzaliśmy mnóstwo czasu razem z Rebeką, Jean była nawet obecna przy porodzie, a po wyjściu ze szpitala Rebeka zatrzymała się u nas na dwa tygodnie. Potem zniknęła na kilka tygodni, ale gdy nadszedł czas przekazania ciebie, wróciła i zrobiła to bez mrugnienia okiem. Jean początkowo bardzo bała się pozwolić jej odejść z tobą, ale uważaliśmy, że jesteśmy jej to winni. Gdy adopcja została przeprowadzona sędownie, Rebeka oddała nam ciebie i więcej już jej nie ujrzeliśmy.. - zawahał się. - Zginęła dwa dni później.

- Czy przyznała się, kto jest moim ojcem? - zapytała drżącym głosem.

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - Powiedziała tylko, że jest żonaty, więc gdyby wymieniła jego nazwisko, sprawiłoby to ból zbyt wielu osobom.

- Ale przecież ona sama cierpiała, to jej sprawiono ból! Nie miała już po co żyć!

- Próbowaliśmy jej to wytłumaczyć, ale bez skutku. Czuliśmy, że wystarczyłaby odrobina wsparcia, a Rebeka dałaby sobie radę z wychowaniem ciebie, dlatego chcieliśmy za wszelką cenę przekonać ją o tym, choć z całego serca pragnęliśmy, żebyś była nasza. W końcu w oryginalnym akcie urodzenia wpisano, że ojciec jest nieznany. Prosiła tylko, żebyśmy pozwolili jej nadać ci imię. Musielibyśmy nie mieć serca, by jej tego zabronić! - W jego oczach załśniły łzy.
- Nie interesowało nas, jak będziesz miała na imię, bylebyś

była zdrowa. Jest coś jeszcze, Brianno... - zawahał się. - W szpitalu Rebeka zarejestrowała się pod nazwiskiem Jones, ale w trakcie procesu adopcyjnego dowiedzieliśmy się, że tak naprawdę nazywa się Mallory, a nazwisko panińskie jej matki brzmi Harrington.

Brianna patrzyła na ojca ze zdziwieniem, bo powiedział to tonem, który sugerował, że nazwiska te powinny coś dla niej znaczyć, tymczasem nic nie przychodziło jej do głowy.

Harrington. Nathan wspominał coś, że jej babka pochodziła z bardzo bogatej rodziny, że to ona wniosła majątek do tego małżeństwa, ale... Zaraz, zaraz, Harrington? Chyba nie miał na myśli tych Harringtonów?!

- Wydawnictwo Harrington Press - podsunął ojciec.

A jednak!

- Starszy brat Joanne Harrington odziedziczył większość udziałów w firmie, ale Joanne przypadła spora ich część, którą wraz z dużą sumą pieniędzy zostawiła Rebecę.

- Rzeczywiście, Nathan wspominał coś o spadku - przypomniała sobie.

- Nie wiem, o jaką kwotę chodzi, ale Rebeka mówiła, że pieniądze zostały zdeponowane w jakimś funduszu inwestycyjnym.

- Zostawiła mi list, myślałam, że nic ponadto - szepnęła, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Wiedziałeś?

- Zdawaliśmy sobie sprawę, że w wieku dwudziestu jeden lat otrzymasz coś od matki, ale nie mieliśmy pojęcia co, nawet nie chcieliśmy wiedzieć. Chcieliśmy być zwykłą rodziną, wychować ciebie najlepiej, jak umiemy, a w swoim czasie wspólnie opowiedzieć ci całą tę historię. Wiem, że powinienem być wcześniej z tobą o tym porozmawiać, ale

nie byłem w stanie się zmusić, chyba zdawało mi się, że w ten sposób dłużej będziesz naszą córeczką.

- Och, tatusiu. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Zawsze będę waszą córką, twoją i mamy - zapewniła go drżącym ze wzruszenia głosem. - Właśnie tego Rebeka chciała dla mnie, żebym wychowywała się w waszym domu, pod waszą troskliwą opieką.

Wiedziała już, co powinna uczynić w związku z listem Rebeki. Musiała go przeczytać, była jej to winna Rebeka zbyt wiele poświęciła, by zapewnić jej szczęśliwe dzieciństwo.

- Czyżbym znowu zabierała panu przerwę na lunch? - Brianna uśmiechnęła się do siedzącego po drugiej stronie biurka Petera Landrisa, który, nie wiedząc czemu, zmarszczył brwi.

- To nic. - Machnął ręką. - I tak rzadko znajduję czas, żeby zjeść coś w ciągu dnia.

- Czyżby dokumenty, które przyniosłam, były nie w porządku? - zaniepokoiła się.

- Są w porządku - odparł, oddając jej papiery adopcyjne.

- W takim razie, czemu jest pan niezadowolony? - nie ustępowała.

- Bo twoja prośba, by Nathan był przy tym obecny, wydaje mi się nieco dziwna - przyznał.

- Cała ta sprawa jest nieco dziwna - odparowała. - Przez dwadzieścia jeden lat utrzymywał pan testament Rebeki w tajemnicy.

- Od tego właśnie są prawnicy - zauważył cierpko. - A musieliśmy czekać dwadzieścia jeden lat, aż osiągniesz pełnoletność, więc...

- Przepraszam za spóźnienie - zawołał Nathan, wpadając do gabinetu. - Witaj, Brianno - zwrócił się do niej szalenie oficjalnym tonem.

- Witam cię, Nathanie. - Uśmiechnęła się ciepło. - Nie jestem pewna, czy wczoraj nie zapomniałam podziękować ci za wyśmienitą kolację, więc dziękuję teraz.

- Nie zapomniałaś, podziękowałaś mi wczoraj - wycedził przez zaciśnięte zęby, zerknąwszy ostrożnie na ojca.

- Jaką kolację? - zainteresował się, zgodnie z jej przewidywaniami, Landris senior, - Byliście wczoraj na kolacji?

- Owszem - uciał Nathan.

- Ach, tak. Jak wiesz, Brianna prosiła, żebyś był obecny podczas dzisiejszego spotkania, więc skoro już jesteś, możemy zaczynać.

Nawet przez moment, dzwoniąc tego ranka z prośbą o spotkanie, nie wątpiła, że Peterowi Landrisowi nie spodoba się jej propozycja, ale po prostu czuła, iż obecność Nathana pomoże jej przetrwać tę trudną chwilę.

- Rozmawiałam wczoraj wieczorem z ojcem - oznajmiła. - Powiedział mi, że moja babka, Joanne, pochodziła z rodziny Harringtonów. Od razu chcę zaznaczyć, że nie obchodzi mnie ta część testamentu Rebeki. - Posłała stanowcze spojrzenie Landrisowi seniorowi. - Chcę tylko przeczytać list, który mi zostawiła.

Przez całą noc przewracała się z boku na bok na łóżku, rozmyślając, co też Rebeka mogła chcieć jej przekazać. Wreszcie zdecydowała, że im prędzej przeczyta ów list, tym szybciej będzie mogła podjąć decyzję, co, jeśli w ogóle, powinna dalej robić.

- Pieniądze, które zostawiła ci matka, zostały złożone

w funduszu inwestycyjnym - odezwał się Peter Landris, jak gdyby nie dotarło do niego to, co powiedziała przed chwilą.

- To spora suma...

- Nic mnie to nie obchodzi - wpadła mu w słowo. - Mam wszystko, co mi potrzeba, więc nie chcę tych pieniędzy.

- Ale...

- Myślę, że powinniśmy chwilowo odsunąć tę kwestię na bok, tato - wtrącił się Nathan. - Nie trzeba przecież spieszyć się z decyzją, pieniądze mogą poczekać. Jeśli Brianna nie będzie chciała ich przyjąć, możemy nadal je inwestować, tak by przynosiły zysk i w odpowiednim czasie zostały przekazane jej dzieciom. Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana, Brianno! - zwrócił się do niej, widząc, że chce mu przerwać.

- Owszem, Rebeka popełniła w życiu kilka błędów, ale uczyniła wszystko, żeby zapewnić swemu dziecku szczęście. Nie odrzucaj teraz jej daru!

- Nathanie! - zgromił go ojciec.

- Możesz być uparta - ciągnął tamten, nie zwracając uwagi na ojca. - Ale nie bądź głupia!

- Nathanie! - Peter Landris wyraźnie nie posiadał się z oburzenia.

- Proszę się nie martwić, wiem, co Nathan chciał mi w ten sposób powiedzieć - uspokoiła go Brianna.

Ważnie dlatego pragnęła, żeby Nathan był obecny podczas tej rozmowy. Mógł próbować odgrodzić się od niej za pomocą tych okropnych okularów, które tego dnia miał na nosie, mógł robić wszystko, by udawać, że niczego nie ma między nimi, ale nie był w stanie nic poradzić na to, że się doskonale rozumieli. Owszem, potrafił być straszliwie pom-

patyczny, ale i tak go lubiła, może aż za bardzo, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Czy mogę prosić o list, panie Landris? - zwróciła się do starszego pana.

- Proszę. - Podał jej kopertę. - Nie mam pojęcia, co jest w środku. Pewnie wolałabyś zostać teraz sama, więc...

- Nie, nie - zaprotestowała. - Wolałabym, aby panowie zostali.

Przez dłuższą chwilę nie otwierała koperty, po prostu trzymała ją w dłoniach, rozmyślając o tym, że jest to jedyna rzecz, jaką dostała od swej prawdziwej matki. I tak miała więcej szczęścia niż inne adoptowane dzieci, które, chcąc odszukać swe biologiczne matki, natrafiały na kobiety przeżone ponownym pojawieniem się w ich życiu niechcianych potomków.

Na nieco pożółkłej kopercie znajdował się tylko jeden wyraz - jej imię, starannie napisane ręką żegnającej się z życiem Rebeki. Brianna drżącymi rękoma otworzyła kopertę i wyjęła z niej pojedynczą kartkę papieru listowego. Zupełnie zapomniała o obecności Nathana i jego ojca, tak bardzo była wzruszona, mogąc odczytać słowa, jakie skierowała do niej matka, której nie знаła.

Moja najdroższa córeczko!

Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że tak się do Ciebie zwracam, ale od samego początku, od chwili gdy się dowiedziałam, że jesteś we mnie, pokochałam Cię całym sercem. Tak bardzo żałuję, że nie mogłam Cię zatrzymać, opiekować się Tobą, patrzeć, jak przemieniasz się w piękną kobietę, którą na pewno teraz jesteś. Niestety, życie ułożyło się ina-

czej, ale wiedz, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić Ci szczęśliwe dzieciństwo. Wiem, że Jean i Graham będą dla Ciebie wspaniałymi rodzicami i wychowają Cię w poszanowaniu tych wszystkich wartości, które są im bliskie. Co najważniejsze, jestem przekonana, że będą Cię kochać jak swoje rodzone dziecko.

Popełniłam wiele błędów, Brianno, ale zanim pojawiłaś się na świecie, tylko ja ponosiłam ich konsekwencje. Proszę, uwierz, że zostałam powołana na ten świat z miłości. Mam nadzieję, że mi wybaczysz to, co teraz wyznam: Twój ojciec był zonaty, ale ja, w swojej naiwności, sądziłam, że naprawdę mnie kocha, że na wieść o Tobie rzuci wszystko dla mnie i będziemy jedną rodziną. Pomyliłam się. W tych okolicznościach nie pozostawało mi nic innego, jak opuścić mój rodzinny dom i ukryć się aż do chwili Twych narodzin.

To wszystko już poza mną. Cieszę się, że mogłam poznać radość macierzyństwa, poczuć w sobie Twe ruchy, wydać Cię na ten świat, pielęgnować Cię przez pierwsze dwa miesiące Twojego życia. Teraz nadszedł czas, bym przekazała Cię Jean i Grahamowi. To największy dar, jaki Ci mogę ofiarować. Proszę, pamiętaj zawsze, jak bardzo cię kochałam. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

Twoja kochająca matka

Rebeka.

W osłupieniu wpatrywała się w drobno zapisaną kartkę. Zabrakło tak wielu słów, które spodziewała się tu przeczytać. Myślała, że Rebeka wspomni; coś o swym nieszczęśliwym dzieciństwie, ojcu-tyranie, przed którym zmuszona była uciekać, wreszcie sądziła, że wyjawi nazwisko jej ojca. Na liście

widoczne były ciemniejsze smugi, które świadczyły o tym, że Rebeka płakała, pisząc te słowa. Teraz i po policzkach Brianny spływały łzy.

Z listu wynikało, że matka kochała ją ponad wszystko, nawet ponad własne życie, które straciło dla niej sens, z chwilą gdy musiała oddać dziecko. A przecież wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Brianna poczuła, jak rodzi się w niej bunt, złość, wręcz pragnienie zemsty. Chciała zranić kogoś tak samo, jak zraniona została Rebeka.

- Brianno? - odezwał się Nathan, gdy wkładała list z powrotem do koperty.

- Tak? - Podniosła na niego chłodne, opanowane spojrzenie. Już nie płakała.

- Czy list... pomógł ci w jakikolwiek sposób? - zapytał nieśmiało Peter Landris.

- Raczej nie. Jeszcze raz dziękuję panom za pomoc - powiedziała, wstając z fotela. - Nie będę więcej zawracała wam głowy...

- Brianno! - zawołał Nathan, kiedy była już prawie przy drzwiach. - Wyglądasz nieswojo.

- Cóż, przeczytałam właśnie bardzo smutny list od mojej matki - odparła tonem wyjaśnienia.

- Nie sądzisz, że jako prawnicy Rebeki powinniśmy go też przeczytać? - zasugerował Landris senior, podchodząc do niej.

- Nie ma takiej potrzeby - zdecydowała. - To, co zamierzam dalej z tym zrobić, w ogóle nie dotyczy prawników Rebeki.

- A co zamierzasz dalej robić? - zaniepokoił się Nathan.

- To proste. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Zamierzam dowiedzieć się, kto jest moim ojcem.

- Co takiego? - wykrztusił z niedowierzaniem Peter Landris.

- Chyba żartujesz! - wtórował mu syn.

- Jak mogłabym żartować w takiej chwili? - zapytała z wyrzutem. - I w dodatku na taki temat.

- Ale po co? - nie rozumiał Landris senior. - Przecież teraz to już nic nie pomoże. Rebeka nie żyje...

- Właśnie dlatego - wpadła mu w słowo. - A mój ojciec, ktokolwiek by nim był, jest za to odpowiedzialny. Dlatego zamierzam go odnaleźć i poinformować o tym fakcie.

To powiedziawszy, odwróciła się i wyszła z gabinetu z postanowieniem, iż musi odnaleźć swego biologicznego ojca, który żyje sobie gdzieś, grzejąc się w ciepłym domowym ognisku!

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Uważam, że powinnaś dać sobie trochę czasu, ochłonać po tym wszystkim, uspokoić się - tłumaczył Nathan, po raz kolejny odwożąc ją do pracy, tym razem, co nie uszło jej uwagi, bez okularów na nosie.

- Nie potrzebuję czasu, żeby się uspokoić, bo jestem spokojna - odparta. - Wydaje mi się całkowicie logiczne, że teraz, gdy dowiedziałam się, kim była moja biologiczna matka, chciałabym poznać ojca.

- Czy kieruje tobą tylko ciekawość, czy chęć odwetu?

Niewątpliwie miał na myśli zemstę, co było kompletną bzdurą, bo Brianna nigdy nie uważała się za mściwą osobę. Ale jeśli nie chodziło o zemstę, to o co? Może Nathan jednak miał rację, może faktycznie potrzebowała czasu, by ochłonać? Ten list był taki, taki...

- Och, nie, Brianno, znowu płaczesz? - Jako że zajechali właśnie przed szpital, zatrzymał się i wyłączywszy silnik, przytulił ją do siebie, chcąc jej dodać otuchy.

Właściwie sama nie wiedziała, czemu płacze. Może dlatego, że, mimo tego listu, w ogóle nie знаła Rebeki? Było jej żal tamtej osiemnastolatki, żałowała, że nie mogła jej poznać ani pokochać. Tak naprawdę jednak jej matką była nie Rebecka, lecz Jean Gibson i nic nie było w stanie zmienić tego faktu.

- Była taka samotna - szlochała. - Tak strasznie samotna.
- Przez całe życie - potwierdził.
- Muszę zobaczyć się z jej ojcem - postanowiła w jednej chwili.

- Nie będzie chciał cię widzieć na oczy - ostrzegł ją Nathan. - Ostatnio stał się jeszcze większym samotnikiem niż dotychczas, rzadko się gdziekolwiek pokazuje i nie zaprasza żadnych gości.

- Ale ze mną będzie musiał się zobaczyć - uparła się.
- Nie będzie to łatwe.
- To nic. - Wzruszyła ramionami. - Nie zauważyłeś, że potrafisz dopiąć swego, gdy mi na czymś bardzo zależy?
- Oj, tak, zauważyłem - zgodził się, kiwając głową.
- Jednak Giles to zupełnie inna sprawa. Nie chcę, żebyś cierpiała jeszcze bardziej niż do tej pory.
- Jestem przecież jego wnuczką - przypomniała.
- Tak, wnuczką, której przed dwudziestu jeden laty nie chciał - odparował.

- I której nadał nie chce - dokończyła. - Cóż, zauważyłam, że jak do tej pory Gilesowi wszystko udawało się po jego myśli, ale dosyć tego.

- Ma siedemdziesiąt lat, jest zbyt stary, żeby się zmienić, Brianno. To największy zrzęda i despota w całej okolicy. Zapewniam cię, że nie uda ci się zmusić go do okazania skruchy. Nie zjawił się nawet na pogrzebie Rebeki.

Brianna aż zaniemówiła z oburzenia. Jak mógł nie przyjść na pogrzeb swej jedynej córki?! Zwłaszcza że był po części odpowiedzialny za jej śmierć. Choć właściwie, czego innego mogła się po nim spodziewać, zważywszy to wszystko, co o nim usłyszała w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Mimo wszystko nie zrezygnuję z zamiaru zobaczenia się z nim - oświadczyła z przekonaniem.

Nathan przypatrywał się jej przez chwilę w milczeniu. Zapewne wyczytał w jej oczach determinację i upór, dlatego też westchnął z rezygnacją.

- Nie wątpię. W takim razie zabiorę cię do niego - zdecydował. - Może być w ten weekend?

- Jesteś bardzo miły, ale nie mogę nadużywać twej uprzejmości. Dziękuję za propozycję, ale nie - odmówiła.

- To żaden problem. I tak wybieram się do Claremont na sobotę i niedzielę, więc możesz jechać ze mną.

- Claremont? - powtórzyła. - Czy to nazwa wsi, w której mieszka mój dziadek?

Jeśli tak, to niby po co się tam wybierał? Przecież sam przed chwilą powiedział, że Giles z nikim się nie widuje, nie rozumiała więc, w jakim celu jechał do niego w ten weekend.

- Claremont to nazwa domu moich rodziców - wyjaśnił. - A Giles mieszka po sąsiedzku. Harringtonowie pochodzą z północnej Anglii, zaś dom w Berkshire był ich letnim domem, wygodnym ze względu na szybki dojazd do Londynu. Giles i Joanne otrzymali go w prezencie ślubnym, podobnie zresztą jak mój ojciec, najstarszy syn, otrzymał Claremont. To dlatego obydwie rodziny tak dobrze się znają.

A więc państwo Mallory i Landrisowie mieszkali po sąsiedzku od wielu lat, jeszcze kiedy Peter Landris i Joanne Harrington byli młodzi, zanim założyli rodziny, zanim na świat przyszli Nathan i Rebeka. Brianna przekonana była do tej pory, że Peter Landris wie tyle o rodzinie Mallorych, ponieważ był ich prawnikiem, nie przyszło jej do

głowy, że mogli być sąsiadami. To stawia sprawę w nieco innym świetle, pomyślała, spoglądając na Nathana oskarżycielko.

- Skoro twoja rodzina wiedziała o wszystkim, co się dzieło u Mallorych, skoro mieliście świadomość dramatu, jaki się tam rozgrywał, a twój ojciec i moja babka byli przyjaciółmi, czemu nikt z waszej rodziny nie próbował nic z tym zrobić? - zapytała z wyrzutem w głosie. - Zdawaliście sobie doskonałe sprawę, że Giles to despota, nieczuły dla swej żony i córki.

- Nieczułość nie daje podstaw prawnych, by ingerować w cudze małżeństwo - bronił się.

- Prawne podstawy! - prychnęła. - A co ze względami humanitarnymi? Co z...?

- Brianno! - przerwał jej łagodnie, a zarazem stanowczo. - Rozumiem, że masz prawo być zdenerwowana, ale...

- Rozumiesz? Śmiem w to wątpić!

- Wysłuchaj mnie wreszcie! - Złapał ją za ramię, zanim zdążyła otworzyć drzwi i wybiec z samochodu. - Zrozumiem, że gdyby wtrącił się w to ktoś z zewnątrz, sytuacja Joanne i Rebeki jeszcze by się pogorszyła. Oczywiście, że próbowaliśmy im pomóc, ale tylko środkami, jakie były dla nas dostępne. Jakkolwiek by ci się to wydawało nieprawdopodobne, Joanne kochała swego męża, a Rebeka nie spędzała wakacji tylko w towarzystwie gospoży, większość dnia przebywała u nas. Chodziłem z nią na ryby, grałem w krykieta...

- Wspinaliście się na drzewa?

Jako łatwo było jej wyobrazić sobie małego Nathana który wspólnie z jej matką szalał po okolicy.

- Rebeka mniej więcej do piętnastego roku życia była

chłopczycą, dopiero później odkryła płęć przeciwną - wyjaśnił. - Oczywiście nie mam na myśli siebie, bo jako jedena-stolatek byłem dla niej zdecydowanie za młody - dodał, wi-dząc jej pytające spojrzenie.

- Dziękuję za zaproszenie na weekend. - Uśmiechnęła się. - Muszę się jeszcze nad tym zastanowić, pozbierać myśli po tym, czego się dziś dowiedziałam.

- Rozumiem. - Zwolnił uścisk. - Nie musisz się krępować wizytą w domu moich rodziców, zapewne będzie tam jak zwykle sporo gości. Na pewno przyjadą wuj Roger z ciotką Clarissą, pewnie też ciotka Susan, wdowa po stryju Jame-sie. Nie martw się, to duży dom, wszyscy się zmieszczą - zapewnił, widząc jej przerażony wyraz twarzy.

Oczywiście, że Landrisowie musieli mieć duży dom, w to nie wątpiła nawet przez chwilę. Trudno jej było sobie wyob-razić, żeby mieszkali w takim niewielkim domku, jaki zaj-mowała ona z ojcem i bratem.

- Jeśli nie chcesz, nikt się nie dowie, kim jesteś i po co przyjechałaś—obiecł.

- Twój ojciec wie dokładnie, kim jestem - przypomniała.

- Jestem pewien, że z chęcią zatrzyma tę informację tylko dla siebie.

- Dobrze, zadzwonię, żeby dać ci znać, co zdecydowałam - zgodziła się. - Dziękuję, że mnie podwiozłeś.

Wysiadłszy z auta, pobiegła w kierunku wejścia do szpi-tala, bo już drugi dzień z rzędu wracała z przerwy na lunch ipóźniona.

- To twój nowy przyjaciel, Brianno?

Odwróciwszy się, spostrzegła Jima, kolegę z pracy, z któ-rym przez jakiś czas się spotykała.

- To tylko znajomy. - Machnęła lekceważąco ręką.

Jej znajomość z Nathanem była tak skomplikowana, że nawet nie wiedziałyby, od czego zacząć, gdyby chciała ją jakoś opisać - tyle było niewiadomych...

- Jak ci już wyjaśniałem przez telefon, rodzice mieszkają w Berkshire, na tyle blisko Londynu, że ojciec codziennie dojeżdża stamtąd do pracy - tłumaczył Nathan, gdy jechali do Claremont.

W końcu zdecydowała się przyjąć jego zaproszenie na weekend, doszedłszy do wniosku, iż to rzeczywiście najlepsza okazja do poznania dziadka Gilesa. Gdy jej ojciec usłyszał o tym pomysłe, był na początku bardzo zmartwiony. Nie rozumiał, po co wybiera się odwiedzić dziadka, ale pokazała mu list Rebeci i wyjaśniła, że czuje, iż powinna zobaczyć się z Gilesem. Chyba w końcu zrozumiał.

Po drodze rozglądała się wokoło, podziwiając mijane widoki. Obserwowanie krajobrazu pomagało jej uspokoić się przed czekającą ją konfrontacją.

- Co twoi rodzice na to, że przywozisz mnie ze sobą na weekend? - zwróciła się do Nathana, który tego dnia wyglądał na bardziej zrelaksowanego niż zwykle. Chyba dzięki sportowemu ubraniu, które dodawało mu chłopięcego uroku.

- Nie mają nic przeciwko temu - odparł krótko. - Bardzo się ucieszyli, że przyjadę w towarzystwie młodej damy.

- Młodej damy? - powtórzyła. - Czy to znaczy, że nie powiedziałaś im, że to ja?

- To także mój dom, Brianno - przypomniał oschłym tonem. - Mam prawo przywozić tu kogo chcę, nie tłumacząc się z tego. Ojciec pewnie skojarzył pewne fakty i domyśla

się, że chodzi o ciebie, ale matka już dawno zapomniała o istnieniu córki Rebeki, więc nawet nie umiałbym jej wyjaśnić, kim jesteś.

- Twój ojciec nie rozmawiał z nią na ten temat? - zdziwiła się.

- A czy twój ojciec rozmawiał z matką na temat swych pacjentek? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Rzadko - przyznała. - A jeśli już, to ogólnikami, żeby nie złamać tajemnicy lekarskiej.

- Prawnicy kierują się tymi samymi zasadami. O co ci jeszcze chodzi? - zirytował się, widząc, że Brianna wciąż marszczy brwi.

- Zastanawiałam się, czy zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób naraziłeś się na spekulacje na swój temat - wyjaśniła.

- Nie powiedziałeś nikomu, kim jestem, więc większość dojdzie do wniosku, że coś nas łączy.

- A niech sobie myślą, co chcą! - zachnął się.

Brianna uznała, że skoro on się nie przejmuje, tym bardziej ona nie powinna zaprzętać sobie tym głowy.

Była bardzo zaskoczona imponującym wyglądem domu Landrisów. Właściwie trudno było go nazwać tak po prostu domem, była to ogromna, wspaniała rezydencja, do której dojeżdżało się ponadpółkilometrową aleją, wysadzaną po obydwu stronach wysokimi drzewami. Przed budynkiem, otoczonym rozległym, pięknie utrzymanym ogrodem, zaparkowanych było już kilka samochodów.

- A niech to! - mruknął z niezadowoleniem Nathan, zauważwszy czerwony kabriolet, stojący pomiędzy bmw i mercedesem. - Przyjechała też Samantha, moja kuzynka, córka stryja Jamesa i ciotki Susan. - Pomógł jej wysiąść, po

czym sięgnął do bagażnika po torbę. - Teraz już na pewno zaczną się spekulacje, Sam uwielbia się ze mną droczyć i na pewno nie przepuści takiej okazji.

Brianna rozejrzała się wokoło w milczeniu. Teraz zrozumiała, dlaczego jej oskarżenia o nieczułość Landrisów wobec nieszczęścia sąsiadów były, delikatnie mówiąc, nie na miejscu. Właściwie nie była nawet w stanie stwierdzić, co według Nathana oznacza pojęcie najbliżsi sąsiedzi, bo jak okiem sięgnąć nie było widać żadnego domostwa.

Jak gdyby umiał czytać w jej myślach, zatrzymał się i wyciągnął rękę w lewo.

- Giles mieszka niecały kilometr w tamtym kierunku - wyjaśnił. - Pomyślałem, że moglibyśmy przespacerować się tam jutro przed południem.

Poczuła ulgę na myśl, że Nathan będzie jej towarzyszył podczas wizyty u dziadka, bo obawiała się, że gdyby okazało się, iż Giles mieszka w równie imponującym domu, zabrakłoby jej w końcu odwagi, aby wejść do środka.

- Dziękuję - szepnęła z wdzięcznością.

Postawił torbę na ziemi, podszedł bliżej i zajrzał Briannie głęboko w oczy.

- Nie ma za co. - Uśmiechnął się. - I głowa do góry, to tylko dom. Ludzie, którzy w nim mieszkają, są tacy sami, jak każda inna rodzina, mają swoje problemy i obawy. - Objął ją ramionami. - Jak to mówią, nie wszystko da się kupić.

- Może i tak, ale miło jest sobie coś kupić, gdy się ma zły humor - stwierdziła, kierując na niego pogodnie już spojrzenie.

- Być może - zgodził się z uśmiechem.

- Na pewno - upierała się.

- Mój Boże, Brianno - westchnął. - I co ja mam z tobą zrobić?

Nie czekając na odpowiedź, pochylił się i pocałował ją czule. Ku swemu zdumieniu, natychmiast poczuła, że właśnie na to czekała, od chwili gdy tego dnia podjechał pod jej dom. Instynktownie objęła go ramionami za szyję i przytuliła się z całej siły. Było jej tak dobrze, tak błogo.

- Ależ, Nathanie! - rozległ się rozbawiony damski głos. - Tak na własnej wycieraczce?!

Brianna odruchowo próbowała się wyrwać z jego objęć, zażenowana, że przyłapano ich w takim momencie, ale Nathan nie pozwolił jej się odsunąć, lecz powoli zakończył pocałunek, po czym objąwszy ją w pól, odwrócił się w kierunku intruza. W drzwiach stała młoda kobieta o delikatnych rysach twarzy, okolonych burzą miedzianych włosów, oraz o jasnobłękitnych, typowych dla Landrisów oczach.

- To ty jesteś Samantha - domyśliła się Brianna, wyciągając do niej dłoń.

- Mów mi Sam - zaproponowała tamta serdecznym tonem. - A ty pewnie jesteś tą młodą damą, którą, jak mi powiedziała mama, Nathan miał dziś przywieźć. Przyjechałam, bo nie mogłam przepuścić takiej okazji. - Roześmiała się. - Witaj, kuzynie. - Uściskała Nathana.

- Cześć, Sam - mruknął.

- Taka piękna dziś pogoda, że siedzimy wszyscy na tarasie - wyjaśniła Sam. - Słyszeliśmy podjeżdżający samochód, więc wyszłam przywitać was w progu. Mam nadzieję, Nathanie, że uprzedziłeś tę młodą damę, jakim przeżyciem jest spotkanie całej naszej rodziny naraz? Wystraszyli niejednego z moich chłopaków. - Skrzywiła się.

- Czy aby na pewno to zasługa rodzinki? - odparował Nathan.

- Drań! - zbeształa go kuzynka.

Tych dwoje zachowywało się identycznie jak Brianna i Gary, co wnosiło pewien powiew normalności do domu, który sprawiał wrażenie wziętego prosto ze starej powieści wiktoriańskiej. Brianna mało nie zemdlała, gdy wyszedł im na spotkanie lokaj, który wziął jej żakiet i torbę, by umieścić je w przeznaczony dla niej sypialni.

- A tak w ogóle, jak masz na imię? - zainteresowała się Sam. - Mama i ja wprawdzie lubimy żyć wygodnie, ale ten przepych i nas przytłacza - stwierdziła, jak gdyby umiała czytać w jej myślach.

- Brianna - przedstawiła się.

- Co za oryginalne imię! - zachwyciła się. - Nie cierpię swojego imienia, nie wiem, co rodzicom przyszło do głowy, żeby mnie tak nazwać. - Skrzywiła się. - Mogli wymyślić coś bardziej interesującego.

- Przestań trajkotać, Sam - upomniał ją żartobliwie Nathan. - Brianna przyjechała tu, żeby pobyc z mną, a nie wysłuchiwać twojej paplaniny.

- Paplaniny?! - udawała oburzenie jego kuzynka. - Zawsze uwielbiał mi dokuczać - zwróciła się z rezygnacją w głosie do Brianny.

Czy to możliwe, żeby ten sztywny, zasadniczy mężczyzna, którego po raz pierwszy ujrzała przed kilkoma dniami, uwielbiał się z kimś przekomarzać? Wszystko wskazywało na to, że upłynie jeszcze wiele czasu, zanim będzie mogła z jako taką pewnością stwierdzić, że już go zna.

- Mam nadzieję, że jesteś już gotowa wkroczyć do

jaskini lwa? - uśmiechnęła się Sam, gdy znaleźli się przy drzwiach, niewątpliwie wiodących na taras. - To w sumie moja rodzina, ale i mnie czasem wydają się nieco przytłaczający.

Śmiały gest, jakim otworzyła podwójne drzwi, zdawał się przeczyć jej słowom.

Brianna była przerażona, bo choć nikt poza Nathanem i jego ojcem nie wiedział, kim jest, wszyscy pozostali byli zapewne przekonani, iż mają do czynienia z dziewczyną Nathana, a to było chyba jeszcze gorsze.

Ubrana była w wąskie granatowe spodnie i błękitny sweter, wyglądała więc w miarę elegancko, ale zapewne nie tego spodziewano się po „młodej damie”, która towarzyszyła Nathanowi.

Jak gdyby odgadując jej wątpliwości, objął Briannę ramieniem w opiekuńczym geście.

- Wyglądasz prześlicznie - zapewnił ją szeptem. - Wprawdzie scałowałem ci z ust szminkę, ale poza tym...

- Wiesz, Sam ma rację, rzeczywiście lubisz się przekomarzać - udawała zagniewaną, ale nie mogła się nie uśmiechnąć.

Taras, o którym wspominała jego kuzynka, wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażała. Cały obudowany był taflami szkła, przez co bardziej przypominał elegancką orangerię, jako że pełno tam było egzotycznych roślin, wśród których stały lekkie rattanowe meble.

Brianna natychmiast rozpoznała Susan Landris, której płomienne włosy odróżniały ją od reszty towarzystwa. Nieopodal niej siedział Roger Davis wraz z wysoką blondynką o arystokratycznej urodzie, zapewne żoną, Clarissą Davis.

Peter Landris, stojący obok nich, patrzył na Brianę z niedowierzaniem. Najwyraźniej nie wyciągnął właściwych wniosków i nie domyślił się, że to właśnie ona jest ową młodą damą, z którą ma przyjechać syn. Tuż przy nim siedziała kobieta, której podobieństwo do Clarissy Davis kazało Brianie domyślić się, że jest to matka Nathana, Margaret Landris, ta sama, która urodziwszy mężowi syna i spadkobiercę, uznała, że spełniła już swój obowiązek.

- To jest Brianna - przedstawiła ją ogólnie Sam, która wyraźnie dobrze się bawiła, obserwując reakcję krewnych na pojawienie się gościa. - Czyż to nie wspaniałe imię, mamó?
- zwróciła się do Susan Landris tonem, który zdradzał, iż kwestia ta była od jakiegoś czasu przyczyną jej narzekań.
- Mogliście i mnie tak nazwać, zwłaszcza że przecież ojciec miał na drugie imię Brian.

Usłyszawszy to, Brianna aż cała zeszytniała, ponieważ nikt jej dotąd nie wspomniał, że James Landris miał na drugie Brian. Nathan zauważył przecież, że jej imię brzmi po męsku, było właściwie żeńską wersją typowo męskiego imienia. Imienia konkretnego mężczyzny, stryja Nathana, Jamesa Briana Landrisa!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków! - zirytował się Nathan.

Obydwoje byli właśnie w sypialni, przeznaczonej dla Brianny, dokąd Nathan zabrał ją pod pretekstem odświeżenia się, natychmiast gdy zauważył, jak zbladła, usłyszawszy słowa Sam.

- To są pochopne wnioski?! - odparowała ze złością. - Twój stryj miał na drugie Brian, a ty nawet nie raczyłeś pisać o tym jednego słowa!

- Ja mam na drugie Samuel, po dziadku, ale jakoś tego nie rozgłaszam przy byle okazji - stwierdził, siadając na łóżku. - Nie widzę takiej potrzeby.

- Tak, ale to chyba coś zupełnie innego, prawda? - Chodziła w tę i z powrotem po pokoju, zbyt zdenerwowana, by usiąść.

- Przecież to tylko poszlaki, Brianno - próbował ją łagodnie przekonać. - Nie sądziłem, że...

- Przestali mówić do mnie tak, jak gdybyśmy byli w sądzie! - zachnęła się.

- A ty nie oskarżaj pospiesznie kogoś, kto nawet nie ma szansy się bronić, bo już dawno nie żyje!

- Nikogo nie oskarżam.

- Nie? - prychnął. - A mnie się zdaje, że tak. Przez przy-

padek dowiadujesz się, że mój stryj miał na drugie Brian, więc natychmiast dochodzisz do wniosku, że to właśnie on był ojcem dziecka Rebeki. Jak więc byś to nazwała, jeśli nie oskarżaniem?

- Rebeka sama wybrała to imię, nalegała, żebym właśnie tak miała na imię - argumentowała.

- To jeszcze niczego nie przesądza - wpadł jej w słowo.

- Ponoś cię wyobraźnia.

- Przecież sam mi mówiłeś, że Rebeka spędzała tu każde wakacje, więc logiczne, że mój ojciec musiał też mieszkać w pobliżu albo przynajmniej być tu częstym gościem.

- To takie oczywiste! - zakpił. - W takim razie powiem ci, że oprócz lokaja, którego już widziałas, mamy tu jeszcze jednego służącego i trzech ogrodników, z których jeden ma, zdaje się, na imię Brian, poza tym jest jeszcze...

- Dobrze, dobrze, przynajmniej, że mnie poniosło - przerwała mu zawstydzona. - Przepraszam, jeśli cię uraziłam. Mam nadzieję, że głos za bardzo się nie niesie w tym domu.

- Uśmiechnęła się. - Nie chcę, żeby twoja rodzina wiedziała, że ledwo przyjechaliśmy, a już się kłócimy.

- To nie pierwsza i zapewne nie ostatnia nasza sprzeczka - stwierdził, gdy wychodzili na korytarz.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby Nathan nie planował zakończyć ich znajomości po upływie tego weekendu. A może tylko tak jej się zdawało, może zinterpretowała jego słowa opacznie? Nagle zdała sobie sprawę, że nie chce, aby Nathan zniknął z jej życia, już się przyzwyczaiła do myśli o nim. W dodatku przypomniało jej się, iż gdy tego dnia ujrzała jego samochód, zajeżdżający przed jej dom, ogarnęło ją dziwne podniecenie, ręce drżały, a serce tłukło się w piersi jak osza-

łałe. Czy to możliwe, żeby powoli się w nim zakochiwała? Rozsądniej byłoby powstrzymać rodzące się uczucie, dopóki nie będzie miała pewności co do tożsamości swego biologicznego ojca, na wypadek gdyby miał się nim okazać ktoś z rodziny Nathana, na przykład sam Peter Landris, który był podejrzenie mocno zaangażowany emocjonalnie w całą tę sprawę.

- Gdzie tym razem jesteś? - zapytał Nathan, obserwując, jak jej twarz zmienia się pod wpływem rozmyślań.

- Ja... myślałam... zastanawiałam się, co powie twoja rodzina, gdy zobaczy, że znów nie mam szminki na ustach - wybrnęła z trudem.

Gdyby dowiedział się, o czym tak naprawdę myślała, wpadłby w furję, że znów wyciąga pochopne wnioski.

- Pomyślą, że znów ci ją scałowałem. - Wzruszył ramionami.

- Nie miałam pojęcia, że uchodzisz za taki wulkan namiętności - przekomarzała się.

W duchu jednak musiała przyznać, że szybko zapominała o tym zimnym, szalenie oficjalnym mężczyźnie, którego ujrziała po raz pierwszy przed kilkoma dniami.

- Nathan do pewnego stopnia przypomina górę lodową, prawda, kuzynie? - zauważyła pogodnie Samantha, która akurat weszła do sypialni. - Jedna dziesiąta jest widoczna nad powierzchnią oceanu, natomiast cała reszta jest głęboko ukryta.

Brianna roześmiała się głośno, ubawiło ją bowiem, że Sam tak trafnie i obrazowo wyraziła jej własne wyobrażenia na temat Nathana.

- Już skończyłyście? - zapytał po chwili, spoglądając to na jedną, to na drugą.

- Wydelegowano mnie, żeby zawołać was na herbatę - oznajmiła jego kuzynka. - Zdaniem ciotki Margaret zbyt długo was nie było.

- Ciekawe, czy została wybrana do tego zadania, czy też zgłosiła się na ochotnika? - zastanawiał się cicho Nathan, gdy podążali za Sam w kierunku tarasu.

- Oczywiście, że sama się zgłosiłam - rozwiła jego wątpliwości kuzynka. - Nie mogłam przecież dopuścić, żeby ciotka Margaret zastała was w niedwuznacznej sytuacji, prawda? Przypuszczam, że raz w życiu spróbowała seksu, ale nie przypadł jej do gustu - zwróciła się do Brianny.

- Sam! - próbował przywołać ją do porządku Nathan.

- No dobrze, może dwa razy, ale tylko po to, żeby przetrwać się, czy nie myliła się co do tego pierwszego razu - poprawiła się Sam. - Chociaż właściwie ciotka Margaret nigdy się nie myli - dodała, krzywiąc się komicznie.

Brianna zauważyła, że Nathan nie mógł oprzeć się swej niepoprawnej kuzynce i wiele razy miał trudności z powstrzymaniem się od uśmiechu.

W milczeniu pili herbatę na tarasie. Peter Landris nie odzywał się prawie wcale, podobnie zresztą jak jego żona, która zachowywała się chłodno i oficjalnie. Jako że Davisowie również nie byli skorzy do rozmowy, jedyną prócz Samantha osobą, z którą można było zamienić kilka słów, była jej matka, Susan Landris.

Brianna odniosła wrażenie, iż wszyscy obserwują ją uważnie, ze zrozumiałych powodów traktując jako potencjalną narzeczoną Nathana. Najbardziej intensywnie przypatrywała jej się oczywiście Margaret Landris. Nathan był jej jedynym synem, więc pragnęła dla niego idealnej partnerki

i chyba teraz wyraźnie uznała, iż Brianna nie nadaje się do tej roli.

- Zastanawiałem się właśnie, czemu cały czas mi się zdaje, że skądś cię znam - zagadnął ją Roger Davis, który podszedł do niej, niosąc swą filiżankę z herbatą.

Zerknęła na niego ostrożnie, po czym dyskretnie rozejrzała się, czy Nathan jest gdzieś w pobliżu. Niestety, rozmawiał właśnie z matką, więc nie miała szansy przywołać go do siebie gestem.

- Tak? - odparła grzecznie, choć obawiała się, że Roger był kolejną osobą, która rozpoznała w niej córkę Rebeki.

- Zdaje się, że widziałem cię kilka dni temu w naszej kancelarii - powiedział. - Rozmawiałaś z Nathanem.

Rzeczywiście, teraz i ona przypomniała sobie, że minęli się w recepcji.

- To prawda - przyznała z uprzejmym uśmiechem, świadoma, że Clarissa Davis przygląda im się badawczo.

- Od dawna znacie się z Nathanem? - ciągnął pozornie obojętnym tonem Roger.

- Raczej od niedawna. Właściwie jesteśmy tylko przyjaciółmi - wyjaśniła. - Nathan przywiózł mnie tutaj, bo pomyślał, że przydałby mi się weekend z dala od miejskiego zgiełku.

- Weekend z jego rodziną? - roześmiał się Roger. - Muszę cię ostrzec, moja droga, że tę rodzinę nieraz porównywano do stada wilków. Dlatego trudno mi uwierzyć, że Nathan bez wyraźnego powodu naraziłby cię na spotkanie z naszą gromadką.

- Cóż, jeśli jest jednym z wilków, być może bawi go to,

że postawił mnie w niezręcznej sytuacji. - Odwzajemniła jego uśmiech.

- Szczerze mówiąc, nie wyglądasz na osobę, która kiedykolwiek czułaby się niezręcznie - stwierdził pogodnie.

- Od czasu do czasu mi się to zdarza i to często właśnie w towarzystwie Nathana.

- Nathan to wspaniały człowiek - oświadczył, poważniejąc. - A w dodatku doskonały prawnik. Wszyscy jesteśmy z niego dumni.

Brianna aż zarumieniła się z zadowolenia, że ktoś ma tak dobrą opinię na temat mężczyzny, który ani trochę nie był jej obojętny.

- Czy to możliwe, żeby określenia wspaniały człowiek i doskonały prawnik czasem się wykluczały? - zapytała Rogera.

- Nie w tym przypadku - orzekł z przekonaniem. - Widzę, że teraz przeze mnie czujesz się niezręcznie - zmartwił się, zapewne spostrzegłszy jej rumieniec. - Wybacz, miałem zamiar cię rozluźnić, a nie zawstydzić.

Uśmiechnęła się do niego ciepło, doszła bowiem do wniosku, iż zdążyła go już polubić.

- Czy mają państwo dzieci, panie Davis? - postanowiła zmienić temat.

- Dwa owczarki, zwane Peg i Danny - wyjaśnił z lekką nutą goryczy. - Oczywiście ich oficjalne, rodowodowe imiona są inne, ale tak je nazywamy w domu. Moja żona jest zapalonym hodowcą i jeździ z nimi na wszystkie wystawy.

Brianna zastanawiała się, czy przypadkiem Clarissa Davis nie podziela opinii swej siostry na temat rodzenia dzieci. Wszystko wskazywało na to, że tak, bo przecież łatwiej po-

radzić sobie nawet z dwoma owczarkami niż z jednym rozbrykanym dzieckiem.

- Kochanie, ładnie to tak? - ofuknęła go żona, która właśnie znalazła się u jego boku. - Zanudzasz przyjaciółkę Nathana.

- Wcale się nie nudzę, pani Davis, wręcz przeciwnie - zapewniła szczerze Brianna.

Na twarzy Clarissy pojawił się serdeczny uśmiech, który złagodził jej ostre rysy, a także sprawił, iż już nie wyglądała na wyniosłą i chłodną, jak się wcześniej zdawało Briannie.

- Cóż, nasze rodzinne spotkania potrafią przybrać całkiem nieoczekiwany obrót, gdy zjawia się na nich Sam - stwierdziła, ciepło spoglądając na dziewczynę, która właśnie zabawiała Nathana i swą matkę parodiowaniem jakiejś postaci. - Muszę przyznać, że potrafi ożywić najbardziej nudne towarzystwo.

Brianna roześmiała się, słysząc nutę autoironii w głosie Clarissy, która, bądź co bądź, również należała do tego „nudnego” towarzystwa. Czyli nie tylko Roger Davis, ale też i jego żona byli w rzeczywistości inni, niż wydawało się na pierwszy rzut oka, bowiem jeszcze przed półgodziną Brianna nie dałaby się przekonać, że Clarissa ma choć odrobinę poczucia humoru.

- Sam jest aktorką - wyjaśnił Roger.

- To nasza czarna owca - dorzuciła jego żona.

Brianna zerknęła na Samanthę, która swą energią emanowała na wszystkich, nie pozostawiając w ten sposób nawet cienia wątpliwości co do tego, że jeśli już znalazła się na scenie, to zawsze ona była postacią dominującą.

- Każda rodzina ma swoją czarną owcę - odparła z uśmiechem Brianna.

- Och, tak - zgodziła się Clarissa. - Może trudno w to teraz uwierzyć, ale kiedy byliśmy z Margaret dziećmi, broiłam za nas obydwie. Moją specjalnością były wszelkiego rodzaju kłopoty. — Mrugnęła zawadiacko do męża.

- Twoim największym kłopotem było to, że wysłaś za mnie - żartował.

- Wcale nie i dobrze o tym wiesz. Moi rodzice uznali cię za wybawienie, bo zanim się zjawiłeś, zaczęli już poważnie wątpić, czy kiedykolwiek będą ze mnie ludzie.

- Od jakiegoś czasu pieką mnie policzki - oznajmiła Sam, podchodząc wraz z Namanem ku nim. - Czy ktoś tu o mnie mówił?

- Chodź, pójdziemy wreszcie przywitać się oficjalnie z moimi rodzicami. - Nathan wziął Briannę pod rękę.

- Ojej, nie dość, że cię zanudzamy, to jeszcze nie dajemy ci porozmawiać z innymi - zmartwiła się Clarissa.

- W ogóle się nie nudziłam - zapewniła po raz kolejny, nie mogąc wyjść ze zdziwienia, że chyba każdy w tym pomieszczeniu był inny, niżby się mogło w pierwszej chwili здаwać. Każdy, nie wyłączając jej samej. - Będzie mi bardzo miło poznać twoich rodziców - zwróciła się do Nathana.

- Co ty zrobiłaś ciotce Clarissie? - szepnął zdumiony, gdy się oddalili.

- Nic. - Spojrzała na niego przestraszona, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że żartował. - Uważam, że jest przemiła.

- Zdaje się, że ty również bardzo przypadłaś jej do gustu - zauważył.

No tak, kiedy planowali ten wyjazd, żadne z nich nie przewidziało, że ona może polubić jego rodzinę i to z wzajemnością.

- Przepraszam - szepnęła.

Nathan zatrzymał się gwałtownie, nic sobie nie robiąc z faktu, że stali teraz na środku tarasu, otoczeni przypatrującymi im się z zaciekawieniem członkami rodziny Landrisów.

- A za co ty, na litość boską, mnie przepraszasz?

- Właśnie do mnie dotarło, że to nie był najlepszy pomysł, żebyś tu przyjeżdżała - wyjaśniła. - Wszyscy myślą, że jestem twoją dziewczyną, a...

- A ty czujesz się winna, bo to nieprawda? - uzupełnił.

- Polubiłam ich - szepnęła. - Czuję się jak oszustka, a nigdy nie lubiłam nikogo okłamywać.

- W takim razie nie okłamuj ich. - Pochylił się, by pocałować ją lekko w usta. - Bądź co bądź, jedliśmy razem kolację, całowaliśmy się, kłóciliśmy się, czyli robiliśmy to, co każda zakochana para. - Roześmiał się, widząc jej zakłopotany wyraz twarzy. - Chodźmy wreszcie przywitać się z moimi rodzicami. - Pociągnął ją za rękę.

Margaret Landris nie przypominała swej siostry w takim stopniu, jak się to wydawało Briannie na początku. Nie było w niej ciepła i serdeczności. Miała za to szalenie silną osobowość i nietrudno było się domyślić, że to ona trzęsie całą rodziną.

- Jak się poznaliście? - zapytała chłodno.

- Brianna zgłosiła się do naszej kancelarii po poradę prawną - odpowiedział spokojnie Nathan. - Skorzystałem z okazji i zaprosiłem ją na kolację.

Oczywiście była to szczerą prawdą, a że Peter Landris nie rozmawiał z żoną na tematy służbowe, nie mogła ona wiedzieć, w jakiej sprawie Brianna pojawiła się w ich kancelarii. Sprytnie!

- Ach, tak. - Margaret Landris skinęła głową. - Nie byłam pewna, czy przypadkiem nie jesteś córką któregoś z naszych znajomych, bo wydajesz mi się do kogoś podobna...

Jej mąż, syn i Brianna wstrzymali w tej samej sekundzie oddech, w oczekiwaniu na to, co powie Margaret. Przecież i Nathan, i jego ojciec rozpoznali ją natychmiast, więc istniała szansa, że również matka Nathana może dostrzec w niej podobieństwo do Rebeki.

- Nie, chyba sobie nie przypomnę. - Skrzywiła się lekko. Cała ich trójka odetchnęła z ulgą.

- Nathan wspominał, że twój ojciec jest lekarzem położnikiem - ciągnęła Margaret Landris.

- To prawda - potwierdziła Brianna, szczęśliwa, że zmienił się temat rozmowy.

- Ojciec Brianny jest specjalistą w tej dziedzinie, ma nawet swoją własną praktykę - uzupełnił Nathan.

Zerknęła na niego ze zdumieniem. Nie miała pojęcia, że aż tyle wiedział o jej ojcu.

- Naprawdę? Chyba jest zadowolony, mając na co dzień do czynienia z początkiem, a nie końcem życia - zauważyła nieco górnolotnie matka Nathana.

Brianna wiedziała, że ojciec stykał się w swej pracy także i z prawdziwymi ludzkimi tragediami, ale uznała, że to nie jest odpowiedni czas i miejsce, aby o tym dyskutować.

- Zapewne - mruknęła wymijająco.

- Pomyślałem, że moglibyśmy z Brianna trochę popły-

wad przed kolacją - wtrącił się Nathan. - Chyba zostało jeszcze sporo czasu, prawda?

- Ale ja nie wzięłam kostiumu kąpielowego - zaprotestowała ze smutkiem w głosie, bo miała ogromną ochotę popływać, zwłaszcza że wiązałoby się to z chwilowym przynajmniej zakończeniem przesłuchania, jakie prowadziła Margaret Landris.

- Nie martw się, Sam zawsze trzyma kilka w pogotowiu, coś ci dobierzemy - pocieszył ją Nathan.

- W takim razie bardzo chętnie - zgodziła się z ulgą.

Przed przyjazdem do Claremont była przekonana, iż jedynym stresującym wydarzeniem, jakie ją czeka, będzie wizyta u dziadka, tymczasem wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Wprawdzie trochę obawiała się, jak przyjmie ją rodzina Landrisów, ale teraz, gdy już ich poznała, niezbyt dobrze się czuła ze świadomością, że w pewnym sensie wszystkich ich oszukuje.

- Twój ojciec jest wyraźnie zmartwiony - powiedziała, gdy wraz z Nathanem znalazła się w holu.

- Nic na to nie poradzę. — Wzruszył ramionami.

- Niepotrzebnie mnie tu przywiozłeś.

- Czyżby? - Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

- Tak, bo...

- Brianno - przerwał jej stanowczo. - Czy mogłabyś choć raz przestać się przejmować innymi ludźmi? Mój ojciec jest dorosły, na pewno nic mu się nie stanie.

Nie była o tym tak bardzo przekonana, bo od chwili gdy wraz z Nathanem pojawiła się na tarasie, Peter Landris wyglądał nie najlepiej. Skoro jednak jego rodzony syn twierdził co innego...

- A dokąd ty się wybierasz? - zapytał, widząc, że skierowała się ku prowadzącym na piętro schodom.

- Po żakiet - wyjaśniła. - Na dworze zrobiło się chyba chłodniej.

- Brianno, basen jest pod dachem - wyjaśnił cierpliwie.
- Nie wychodzimy na zewnątrz.

- Oczywiście, w domu Landrisów jest kryty basen! Jak w każdym przeciętnym domu, prawda? - zażartowała.

- Jesteś niesamowita. - Uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie. - Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że posiadając własny kryty basen, jesteśmy prawdziwymi szczęściami. Zawsze traktowałem to jako coś naturalnego.

Basen był naprawdę wspaniały. Podobnie jak taras, ze wszystkich stron był zabudowany taflami szklanymi, tak że można było stamtąd podziwiać pięknie utrzymane klomby kwiatowe. Trawa była równiutko przycięta, zapewne niedawno zajmował się nią jeden z trzech ogrodników, o których wspominał wcześniej Nathan.

- Moja matka uwielbia zajmować się ogrodem i wiele prac wykonuje własnoręcznie - poinformował Nathan, jak gdyby czytał w jej myślach.

- Pięknie tu - zachwyciła się. - Gdzie znajdę kostium?

Nie była w stanie nawet spojrzeć na niego, ponieważ dotarło do niej, że różnice, jakie istniały między nimi, stanowiły przeszkodę nie do przebycia. Była na najlepszej drodze do zakochania się w mężczyźnie, który pozostawał zupełnie poza jej zasięgiem.

- Brianno. - Położył dłoń na jej ramieniu. - To dom moich rodziców. Mam swój własny w Londynie.

- Pewnie równie luksusowy, jak ten. - Skrzywiła się.

- Pokażę ci go kiedyś. - Uśmiechnął się, kręcąc przecząco głową. - Myślę, że będziesz miło zaskoczona. Mieszkając od urodzenia w domu takim, jak ten, marzy się przede wszystkim o tym, by wreszcie mieć własny kąt i urządzić go w zupełnie innym stylu.

To, co powiedział, wzmogło jej ciekawość, ponieważ wyobrażała sobie do tej pory, iż jego londyńskie lokum urządzone jest drogimi meblami w najmodniejszym ostatnio stylu techno. Tymczasem jego słowa wskazywały na to, że się myliła.

- Sypialnia, którą ci przeznaczono, była kiedyś moim pokojem dziecięcym - ciągnął - Sąsiaduje z moją obecną sypialnią. Gdy byłem mały, wolno mi było bawić się tylko w tych dwóch pomieszczeniach.

Skrzywiła się, gdyż wyobraźnia podsunęła jej obraz samotnego małego chłopca, który spędzał całe dni w swym pokoju, zapewne jedynie w towarzystwie niani. Jakże odmiennie wyglądało jej dzieciństwo, gdy wraz z bratem korzystali ze swobody, jaką dawali im rodzice, przekonani, iż dzieci powinno być i słychać, i widać.

- Nie musisz mi współczuć, Brianno. - Uśmiechnął się na widok jej posępnej miny. - Poza tym żyłem jak zwykły chłopak.

Rzeczywiście, wspominał przecież, że wraz z Rebeką chodził na ryby, wspinał się na drzewa. Z Rebeką...

- Chodźmy wreszcie popływać - zaproponował. - Kostiumy Sam znajdziesz w przebieralni.

Była zadowolona, iż choć na chwilę mogła zniknąć mu z oczu, ponieważ właśnie dotarł do niej niepokojący fakt: ich sypialnie dzieliła zaledwie jedna ściana! Wątpiła, by stało się

to przypadkiem, to raczej Margaret Landris wyciągnęła pewne wnioski, co do charakteru jej związku z Nathanem. Nie mogła przestać się zastanawiać, czy jego była narzeczona również zajmowała tę sypialnię.

Woda w basenie była cudownie przejrzysta i na szczycie bardzo ciepła. Brianna bowiem wybiegła z przebieralni i natychmiast zanurkowała. Nie dlatego, żeby tak uwielbiała skakać na głowę, ale dlatego, że jedyny kostium kąpielowy, jaki znalazła, składał się z dwóch wąskich pasków czarnego materiału, które z trudem zakrywały to, co miały zakrywać. Czuła się niemal naga, więc jedynym sposobem, by jakoś ukryć zakłopotanie, było natychmiast dać susa do wody.

- Świetny skok - pochwalił Nathan, gdy wypłynęła na powierzchnię tuż obok niego. - I jeszcze lepsze ciało. - Roześmiał się, widząc jej zażenowanie. - Sam zawsze miał skłonności ekshibicjonistyczne.

A więc ten szybki skok do wody nic nie pomógł! Nathan pewnie specjalnie czekał na jej wyjście z przebieralni, spodziewając się widoku jej półnagiego ciała.

Przez następną godzinę miała okazję udowodnić mu, iż pływa równie sprawnie, jak on, więc być może ogromny wysiłek fizyczny sprawił, iż po wyjściu z basenu kręciło jej się w głowie i miała wyraźne trudności z oddychaniem. Bo przecież niemożliwe, żeby aż tak wpłynął na nią widok Nathana w skąpych granatowych kąpielówkach?

- Coś nie tak? - zapytał wyraźnie zaniepokojony, gdy w bezruchu wpatrywała się w niego nieprzytomnym wzrokiem. - Brianno! Jesteś bardzo błada, źle się czujesz?

Właściwie czuła się bardzo dobrze, bo była w jego towa-

rzystwie, ale to właśnie stanowiło największy problem, jakby mało jej jeszcze było życiowych komplikacji?

- Myślę, że powinnam położyć się i odpocząć przed kolacją - odparła słabym głosem. - Jestem trochę oszołomiona.

Podszedł się do niej i w opiekuńczym geście objął ją ramieniem.

- Jak ty drzysz! Powinnaś była mi powiedzieć. Nie, powinienem był sam się domyślić. - Pokręcił głową z niezadowolaniem. - Zawsze sprawiasz wrażenie takiej silnej i niezależnej, zupełnie nie przyszło mi do głowy, że to, co się działo przez ostatnie kilka dni, może być dla ciebie bardzo obciążające emocjonalnie. Przebierz się i zaprowadzę cię do twego pokoju, a jeśli nadal będziesz źle się czuła, przyniosę ci kolację do łóżka.

Na szczęście zupełnie opacznie zinterpretował przyczynę jej niemocy! Biedak, pewnie wzięłby nogi za pas, gdyby się dowiedział, że jest w nim zakochana, przecież jego życie było wzorowo poukładane, nie było w nim miejsca na komplikacje.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. - Przywołała na twarz uśmiech. - Potrzebuję tylko trochę odpoczynku.

- Jesteś pewna? - W jego głosie słychać było autentyczną troskę.

- Jak najbardziej - potwierdziła, chcąc szybko znaleźć się jak najdalej od niego, bo czuła, że traci panowanie nad sobą.

- Dobrze. - Pochylił się, by ją pocałować. - Wiesz, powoli zaczynam się do tego przyzwyczajać - szepnął, tuląc ją do siebie.

- Ale ja nie. - Odsunęła się gwałtownie. - To się musi skończyć, Nathanie, przecież niedługo nie będziemy mieli

już powodu, żeby się widywać. Nie musisz mnie odprowadzać do pokoju, wiem, jak tam trafić.

Odwróciła się pospiesznie i wyszła, by nie złamać danego samej sobie słowa i nie zapomnieć się w jego ramionach.

Gdy jakiś czas później rozległo się pukanie do drzwi jej sypialni, Brianna aż podskoczyła na łóżku. Naprawdę nie była jeszcze gotowa oglądać ponownie Nathana!

- Brianno?

Natychmiast rozpoznała chłodny, wyniosły ton głosu jego matki. Co też ona może chcieć, zastanawiała się gorączkowo, podchodząc do drzwi.

- Nathan powiedział mi, że nie czujesz się najlepiej. - Margaret Landris wprawdzie uśmiechała się, ale jej spojrzenie było poważne i mało przyjazne. - Pomyślałam, że może mogłabym ci jakoś pomóc.

- Nie, dziękuję, to nic takiego, po prostu jestem trochę zmęczona, więc chciałam odpocząć przed kolacją.

- Nathan bardzo się o ciebie martwił. Zdaje się, że jesteście sobie... bliscy - zaryzykowała.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi, pani Landris - wyjaśniła, ale nie odniosła wrażenia, że to uspokoiło matkę Nathana.

- Rozumiem. W każdym razie daj mi znać, jeśli byś czegoś potrzebowała.

- Oczywiście. Dziękuję, pani Landris.

Brianna z ulgą zamknęła drzwi. Współczuła kobiecie, z którą Nathan zechce się kiedyś związać, bo będzie musiała również dać sobie radę z jego matką, co nie wydawało się takie proste. Jak to dobrze, że ona sama nie miała najmniejszych szans...

- Twoja matka mnie nie lubi - stwierdziła ni z tego, ni z owego, gdy następnego dnia szli żwirową aleją.

- Co takiego? - zdumiał się Nathan.

- Powiedziałam, że twoja matka mnie nie lubi - powtórzyła spokojnie. - Czy akceptowała twoją byłą narzeczoną?

- Brianno...

- Pewnie nie - odpowiedziała sama sobie. - Jest bardzo zaborcza w stosunku do ciebie.

Miała okazję przekonać się o tym poprzedniego wieczoru, kiedy to podczas kolacji została posadzona pomiędzy Samantha i Rogerem Davisem, zaś jak najdalej od Nathana. Nie narzekała na towarzystwo, bo doskonale się bawiła, ale nie uszło jej uwagi, że Margaret Landris, która niewątpliwie była odpowiedzialna za takie rozmieszczenie gości, chciała ją odizolować od swego syna.

- Nie interesuje mnie w tej chwili moja matka, Brianno - odparł wyraźnie zirytowany. - Ciebie też nie powinna interesować... Zajmij się lepiej swoim dziadkiem. Nie oczekuj, że Giles przeszedł przez te lata cudowną przemianę i przyjmie cię teraz z otwartymi ramionami - zmienił temat na bardziej, jak się zdawało, interesujący go.

Na horyzoncie ukazał się dom Mallorych, dużo mniej imponujący niż posiadłość Landrisów, głównie dlatego, że ogród był zarośnięty chwastami, a sam budynek, choć noszący ślady dawnej świetności, wyraźnie zaniedbany.

- Brianno... - zaczął Nathan.

- Proszę, przestań się zamartwiać. Jestem pewna, że po niemal dwudziestu czterech godzinach, spędzonych w towarzystwie twojej rodziny, Giles Mallory wyda mi się łagodny jak baranek - zażartowała.

- Ostrzegałem cię przed Sam - przypomniał, krzywiąc się zabawnie.

Owszem, ale nie ostrzegł jej przed swą matką. Kilkakrotnie Margaret Landris próbowała wciągnąć ją do rozmowy, chyba głównie po to, aby uświadomić jej, że nie jest godna jej syna. Dlatego wreszcie Brianna przyjęła strategię odpowiadania ogólnikami, co zapewne przekonało matkę Nathana, iż ma do czynienia z osobą o nijakim charakterze, ale to akurat było mało istotne.

- Uważam, że Sam jest cudowna — oświadczyła zgodnie z prawdą.

- Nie potrafi odróżnić, gdzie kończy się teatr, a gdzie zaczyna się życie - rzekł Nathan. - Zawsze zachowuje się tak, jakby miała przed sobą publiczność.

- Wczoraj udało jej się nawet kilka razy cię rozzłościć - zachichotała.

- Och, Sam potrafi rozzłościć każdego.

- Mnie nie.

Uśmiechnęła się, bo doskonale zdawała sobie sprawę, iż Nadian próbuje ją zagadać, by odwrócić jej uwagę od tego, że zbliżają się do domu Gilesa.

- Bo cię jeszcze za dobrze nie zna. Daj jej trochę czasu, a sama się przekonasz.

Brianna spoważniała. Wiedziała, że nie będzie więcej okazji, aby mogły się z Sam lepiej poznać. Był tylko ten jeden weekend.

- Pozwól, że na początku będę mówił ja, dobrze? - poprosił łagodnie, gdy znaleźli się przy wejściowych drzwiach. - Burns, lokaj twojego dziadka, zna mnie od dziecka.

- Jeśli tylko ma to nam pomóc dostać się do środka...
- mruknęła.

Nathan nacisnął przycisk dzwonka.

- Burns ma mniej więcej tyle lat, co Giles, więc to może trochę potrwać - wyjaśnił.

Po dłuższej chwili otworzył im starszy, mocno przygarbiony mężczyzna.

- Czy to pan, panie Nathanie? - upewnił się, przypatrując mu się zmrużonymi oczyma.

- Chciałbym się zobaczyć z panem Gilesem - rzekł podniesionym głosem Nathan, co podpowiedziało Briannie, że lokaj jest przygłuchy.

- To nie najlepszy moment, panie Nathanie - poradził zmartwionym głosem Burns. - Nie wiem...

- Czy mógłby pan przekazać panu Mallory'emu, że ma dwójkę gości? - wtrąciła się stanowczo Brianna, która nie miała ochoty zostać teraz odesłana z kwitkiem, skoro wreszcie zebrała się na odwagę, żeby tu przyjść.

- A kim pani jest, młoda damo?

- Nazywam się Gibson - odparła, unosząc dumnie głowę.

Gdy lokaj się oddalił, Nathan spojrział na nią z wyrzutem.

- Miałaś zostawić to mnie - przypomniał.

- Owszem, ale nie mogłam przecież pozwolić, żeby nas teraz odesłał - tłumaczyła się. - Przyszłam tu, żeby zobaczyć się z ojcem Rebeki.

- Od początku uważałem, że to kiepski pomysł - westchnął Nathan. - Nie wiesz...

- Pan Giles czeka na państwa w bibliotece - przerwał mu Burns, który wyglądał na zdziwionego faktem, iż jego pan zdecydował się przyjąć gości.

Biblioteka okazała się być obszernym pomieszczeniem, pełnym zakurzonych regałów z książkami, które wyglądały tak, jak gdyby nikt ich od wieków nie czytał. Stare fotele miały wytartą tapicerkę, spod dywanu przeświecała podłoga, nawet ogień w kominku zdawał się być jakiś mikry.

- Jeszcze trochę pajęczyn i moglibyśmy się poczuć jak bohaterowie „Wielkich nadziei” Dickensa - szepnęła, zastanawiając się jednocześnie, jak można w ogóle mieszkać w takich warunkach.

- Przyznaję, że Burns jest prawie głuchy, ale mój słuch funkcjonuje idealnie - odezwał się zrzędlwym głosem starszy mężczyzna, siedzący w jednym z foteli po drugiej stronie pokoju.

Brianna przypatrywała się w osłupieniu swemu dziadkowi. Nie miała pojęcia, kogo spodziewała się ujrzeć, ale Giles był zdecydowanie inny, niż sobie wyobrażała.

Sądziła, że jako syn farmera powinien być niski, krępy i łysy, tymczasem Giles Mallory dorównywał wzrostem Nathanowi, był bardzo szczupły, a jego gęsta wciąż czupryna miała kolor mleka. Choć tweedowy garnitur, jaki miał na sobie, nosił wyraźne ślady bardzo długiego użytkowania, Giles zdawał się tym zupełnie nie przejmować, jak gdyby kwestie estetyczne były dla niego co najmniej drugorzędne.

- Przepraszamy, że zawracamy ci głowę, Giles - zaczął Nathan, gdy starszy pan pochylił się, by odłożyć książkę, którą zapewne czytał, gdy przyszli.

- Twoje przeprosiny przyjęte, Nathanie, ale wątpię, żeby ta panna odczuwała jakąkolwiek przykrość, że mi przeszkodziła. Co tam, nie tego się spodziewałaś, prawda? - zwrócił się do poblądłej Brianny.

- Sama nie wiem, czego się spodziewałam - wykrztusiła z trudem.

- Ja też nie jestem pewien, czego się spodziewałem - odparł, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. - Wyglądasz dokładnie jak twoja matka - zawyrokował po chwili.

- Jak to? Pan wie kim jestem?

- Oczywiście, że wiem - mruknął zniecierpliwiony. - Myślisz, że nie poznałbym własnej wnuczki?

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Brianna wpatrywała się w niego w milczeniu. Nic z tego nie rozumiała. Po pierwsze, skąd wiedział, że to ona? Po drugie, skoro już wiedział, kim jest, czemu nie był wściekły z powodu jej wizyty?

- Zabrakło ci języka w buzi? - ponaglił ją.

- Giles...

- Mówiłem do mojej wnuczki, Nathanie - przerwał mu ostro.

- Rozumiem, ale Brianna jest trochę tym wszystkim oszołomiona - próbował tłumaczyć ją Nathan.

- Nie rozumiem dlaczego. - Zadzwoił po lokaja. - Przecież to ona przyszła zobaczyć się ze mną, nie odwrotnie. Burns, przynieś kawę dla nas trojga - polecił, gdy lokaj pojawił się ponownie w bibliotece. - Pijesz kawę, mam nadzieję? - zwrócił się do Brianny. - Twoja matka jej nie cierpiała.

- Tak, piję - odparła słabym głosem. - Czy... mogę usiąść? - poprosiła, bo nie była pewna, czy długo jeszcze zdoła utrzymać się na nogach.

- Oczywiście, że tak - burknął Giles. - Nie przyszłaś tu chyba po to, żeby sterczeć w drzwiach. Poza tym będziesz przeszkadzała Burnswi, gdy przyniesie kawę. Jak tam rodzice, Nathanie, zdrowi?

- Tak, zdrowi, dziękuję. - Teraz Nathan wyglądał na wstrząśniętego.

- To dobrze. - Starszy pan kiwnął głową. - Już lepiej się czujesz? - zwrócił się do wnuczki.

Brianna sama nie miała pojęcia, jak się czuje. Zjawiła się tutaj z przekonaniem, że go nienawidzi, że nim pogardza za to, co zrobił jej matce, a tymczasem...

- Nigdy nie mogłem znieść kobiet, które gadają jak najęte - oznajmił Giles, siadając z powrotem w fotelu. - Ty też usiądź, Nathanie - zarządził. - Stojąc tak, wprowadzasz tu nieład.

Gdyby nie to, że Brianna wciąż czuła się oszołomiona, jego uwaga wywołałaby u niej wybuch śmiechu, bo przecież w całym pomieszczeniu nie było miejsca, gdzie nie piętrzyłyby się stopy mocno zakurzonych książek, więc było to raczej niemożliwe, aby Nathan, ubrany w eleganckie ciemne spodnie i kremową koszulę, mógł tu wprowadzić jeszcze większy nieład.

- Dlaczego masz taką minę, jakbyś miała ochotę wziąć nogi za pas? - Giles skrzywił się z niezadowoleniem. - Przecież cię nie zjem, chociaż może ostrzegano cię przed taką możliwością. - Posłał Nathanowi znaczące spojrzenie.

- Ależ ja nic...

- Nathan niewiele mi o panu opowiadał - zaprotestowała Brianna, czując, że powoli odzyskuje animusz.

- W takim razie, dlaczego tu z tobą przyszedł? Może jednak tak na wszelki wypadek?

- Pana to bawi, prawda? - domyśliła się, patrząc mu prosto w oczy.

- Oczywiście, że tak - potwierdził bez wahania. - Przecież długo czekałem na tę chwilę.

- Jak to? - nie rozumiała.
- Chyba normalne, że chciałem poznać swoją wnuczkę, prawda?

- A niby skąd pan wiedział, że kiedyś przyjdę?
- Jeśli masz w sobie choć odrobinę tego uporu, z którego znana była Rebeka, prędzej czy później musiałaś się zjawić - orzekł z przekonaniem. - Rebeka nigdy przed niczym nie uciekała.

- Uciekła przed panem - przypomniała chłodno Brianna.
- Tak ci powiedziano? - Utkwił w niej uważne spojrzenie.
- Tak było.
- Czyżby?
- A nie?
- Nie do końca - odparł poważnym tonem. - Nie do końca. Och, jest i Burns z naszą kawą - zmienił temat, gdy z korytarza dobiegło ich brzęczenie porcelanowych filiżanek.

Giles podniósł się, by uprzątnąć stertę książek, leżącą na stoliku do kawy. Uprzątnąć, to znaczy zrzucić je na podłogę.

Brianna przyglądała mu się ze zdumieniem. Spodziewała się spotkać zrzędliviego despotę, tymczasem Giles okazał się po prostu samotnym starszym mężczyzną. Wprawdzie samotnym na własne życzenie, ale nie zmieniało to faktu, że poczuła dla niego współczucie.

Na przyniesionej przez lokaja tacy z kawą stał także półmisek świeżo upieczonych ciasteczek, co świadczyło o obecności w tym domu kucharza.

- Nalej kawy - poinstruował ją Giles.
- Mam na imię Brianna - poinformowała dumnie.
- Doskonale wiem, jak masz na imię - burknął. - I daj mi trochę tych ciasteczek...

- Proszę - odpowiedziała mu grzecznościową formę.
- A więc masz w sobie coś z matki. I z babci też, o ile się nie mylę. To była prawdziwa dama. - Wyraźnie złagodniał na wspomnienie o nieżyjącej żonie.

Być może upływ czasu przemienił go trochę. Bo trudno było Briannie uwierzyć, że to ten sam nieczuły tyran, o którym jej opowiadano.

- Dziękuję - mruknął niechętnie, gdy podała mu filiżankę i talerzyk.

- Proszę bardzo.

- No i co myślisz o mojej wnuczce? - zwrócił się do Nathana.

- Hmm... jest... wyjątkowa - odparł, wyraźnie zakłopotany.

- I piękna, prawda? - podsunął sprytnie Giles.

- O tak - zgodził się Nathan, po czym zerknął z rozbawieniem na coraz bardziej zarumienioną Briannę.

Starszy pan był najwyraźniej usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, bo skinął z zadowoleniem głową.

- A co o niej sądzi twoja rodzina?

- Nie odpowiadaj, Nathanie - poleciła Brianna, podając mu kawę i ciasteczka. - Nie przyszliśmy tu, żeby nas przesłuchiowano.

- Ale żeby mnie przesłuchać? - domyślił się Giles. - A przynajmniej zadać mi jedno pytanie - uzupełnił.

- Tak? - Brianna uważnie mu się przyjrzała, mrużąc przy tym oczy. - A niby jakie?

- To samo, które zadałem twojej matce, zanim uciekła - odparł. - Z powodu którego uciekła - poprawił się. - Kto był twoim ojcem?

- I odpowiedziała? - Brianna zamarła w bezruchu.
- Oczywiście, że nie! - prychnął. - A jak myślisz, dlaczego uciekła?

- Giles...

- Wszystko w porządku, Nathanie - uspokoiła go. - Może pan nam powie, dlaczego uciekła - zwróciła się ponownie do dziadka.

- Przecież właśnie powiedziałem. - Zmarszczył brwi. - Chciałem wiedzieć, kto jest ojcem dziecka... twoim ojcem. Rebeka odmówiła podania jego nazwiska, pokłóciliśmy się, a potem zniknęła.

- Dlaczego nie próbował pan sprowadzić jej tu z powrotem? - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Przecież miała wtedy zaledwie osiemnaście lat, była w ciąży i nie miała się do kogo zwrócić!

- Myślisz, że o tym nie wiedziałem? - odparował gniewnie. - Ale Rebeka nie chciała, żebym ją odnalazł. Zmieniła nazwisko. Wynająłem detektywów, szukali jej tygodniami, bez skutku.

- Ale dlaczego? Dlaczego chciał pan ją tu ściągnąć?

- Nie z powodów, o których myślisz - warknął. - Zjawiasz się tu niemal dwadzieścia dwa lata później z tymi swoimi uprzedzeniami na mój temat, a przecież nie masz pojęcia, jacy wtedy byliśmy. A co do ciebie, chłopcze... - zwrócił się do Nathana - wiesz tylko to, co ci powiedziano, a nie zawsze jest tak, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Byłeś wtedy dzieckiem i może uważałeś mnie za bezlitosnego tyrana, ale nie miałeś pojęcia... - urwał.

Naraz jego twarz pobladła. Miał wyraźne problemy z zaczerpnięciem powietrza.

- Co się stało? - Przestraszona Brianna pochyliła się nad nim.

- Giles? - W tej samej chwili również Nathan znalazł się przy nim. - Co ci jest?

- Lek! - wykrztusił starszy pan, ściskając konwulsyjnie poręczę fotela. - Znajdźcie Burnsa. On wie, co robić.

Brianna przypomniała sobie, że lokaj faktycznie ostrzegał ich, gdy przyszedli, że nie jest to najlepszy moment na odwiedzin. O ile się nie myliła Giles miał jakieś problemy z sercem.

- Ja pójdę po Burnsa - zdecydowała szybko. - A ty rozepnij panu koszulę i spróbuj trochę uspokoić - poleciła Nathnowi.

- Odezwała się córka lekarza - mruknął Giles.

Skąd wiedział, że jej ojciec jest lekarzem? Coraz bardziej przekonywała się o tym, że wiedział o wiele więcej, niż im się wszystkim wydawało.

Nie miała większych trudności z odnalezieniem Burnsa, który popijał kawę w kuchni, dużo trudniej było wytłumaczyć mu, że przysłała po lekarstwo Gilesa. Na szczęście była tam również pulchna kucharka, która natychmiast podała jej fiolkę proszków. Biegiem wróciła do biblioteki, gdzie Giles wciąż siedział w fotelu w takiej samej pozycji, w jakiej go pozostawiła. Tabletkę, którą mu podała, podziękowała niemal natychmiast.

- Myślę, że powinien pan teraz odpocząć - zdecydowała.

- Odpoczywam od dwudziestu jeden lat - zaprotestował, ale mimo wszystko odchylił głowę na oparcie fotela i zamknął oczy.

Od dwudziestu jeden lat, czyli od narodzin Brianny i śmierci Rebeki.

- Chyba jednak teraz rzeczywiście potrzebuję trochę odpoczynku - zgodził się wreszcie, aczkolwiek z wyraźną niechęcią. - Przyjdź o czwartej, ale tym razem już sama - zakomenderował.

Widziała, że Nathan był zdecydowanie przeciwny temu pomysłowi, ale teraz, gdy już poznała Gilesa Mallory'ego, przekonała się, iż nie musi się go obawiać. Owszem, był szalenie nieuprzejmy i apodyktyczny, ale wiedziała, że da sobie z nim radę.

- Dobrze, przyjdę o czwartej - zgodziła się.

- Uważam, że to fatalny pomysł - oznajmił w drodze powrotnej Nathan, nie starając się nawet ukryć niezadowolenia

- Muszę z nim porozmawiać - upierała się. - Poza tym wydaje mi się, że będzie bardziej szczerzy, gdy zostaniemy sam na sam.

Z trudem mogła za nim nadążyć, tak szybko szedł.

- Nie chcę, żebyś martwiła się tym, co ci powie.

- Nie wydaje mi się, żeby chciał mnie zranić - odparła z przekonaniem.

Rzeczywiście, im dłużej myślała o ich wizycie u Gilesa, tym bardziej była przekonana, iż tak naprawdę był zadowolony, że go odwiedziła.

- Ale to, co ma do powiedzenia, może cię zranić - denerwował się Nathan. - Zresztą, skąd wiesz, że powie ci prawdę? Może wcisnąć ci każde kłamstwo, bo nie jesteś w stanie tego sprawdzić.

- Myślę, że jednak powie mi prawdę - nie ustępowała.

- A jak mam wyjaśnić rodzinie twoją nieobecność? - On też nie chciał dać za wygraną.

- Powiedz im, że się pokłóciliśmy i że poszłam się przejść
- podsunęła. - Zresztą, jeśli zaraz nie przestaniemy się spierać, rzeczywiście dojdzie do awantury.

- Próbuję tylko cię chronić.

- A ja jestem ci za to wdzięczna.

- Akurat, nieprawda! - Teraz był już naprawdę wściekły.

- Jesteś uparta jak osioł, a do tego nieodpowiedzialna.

- Wcale nie! - przerwała mu ostro. - Nigdy w życiu nie byłam nieodpowiedzialna.

Przez chwilę stali bez słowa, mierząc się nawzajem wzrokiem. Wokół nich szumiał las oddzielający posiadłości Mal-lorych i Landrisów.

- Teraz właśnie jesteś - upierał się Nathan. - Od samego początku byłem przeciwny twojej wyprawie do Gilesa.

- A dlaczego? - Posłała mu wyzywające spojrzenie.

- Przecież już powiedziałem.

- Żeby mnie chronić. Ale teraz, kiedy już go poznałam, nie widzę powodu, dla którego miałabym potrzebować ochrony.

- Jeszcze nie widziałas go w akcji, Brianno - upierał się.

- Koniecznie chcesz tam wrócić, narażając się na przykrości, więc jeśli to nie brak odpowiedzialności, to nie wiem już, co nim jest.

- Wcale nie jestem nieodpowiedzialna! - zdenerwowała się nie na żarty. - Jestem ci bardzo wdzięczna za okazaną w ciągu ostatniego tygodnia pomoc, ale...

- Ale już mnie nie potrzebujesz - uzupełnił z wściekłością.

- Tego nie powiedziałam! - zaprotestowała.

- Nie musiałaś! - Chwytał ją za ramiona. - Dałaś mi

wyraźnie do zrozumienia, że byłem dla ciebie tylko środkiem do celu.

- To nieprawda! Ja cię... lubię - wyznała po chwili wahania.

Zanim zdążyła się spostrzec, już ją całował, inaczej jednak niż dotychczas, z ogromną pasją i namiętnością. Początkowo chciała się wyrwać, ale już chwilę później zupełnie się zapomniała w tych pieszczotach, nagle pragnąc coraz to więcej i więcej. Nawet nie wiedziała, kiedy znaleźli się na miękkim mchu, wciąż całując się jak szaleni, obdarzając się nawzajem coraz śmielszymi pieszczotami. Briannę zdumiało, że nagle przestała odczuwać jakiegokolwiek zahamowania, chciała tylko sprawiać mu przyjemność i brać od niego to, co dawał jej w zamian.

Naraz zamarł w bezruchu, po czym odsunął się od niej, z trudem łapiąc oddech. Zdumiona tą nagłą odmianą, podniosła się na łokciu, by spojrzeć mu w oczy, zaś to, co w nich wyczytała, sprawiło, iż zerwała się na równe nogi, nerwowo otrzepując i wygładzając ubranie. Jego wyraz twarzy mówił wyraźnie, iż to, co się stało, było niewybaczalnym błędem, wydarzeniem, o którym należało czym prędzej zapomnieć.

- Powinniśmy chyba wracać na obiad - odezwała się, starając się za wszelką cenę na niego nie patrzeć.

- Brianno...

- Dajmy temu spokój - nie pozwoliła mu dokończyć.

- Emocje wzięły górę nad rozumem, a że ostatni tydzień był wyjątkowo ciężki,...

- Całowałem cię, bo tego właśnie chciałem - zapewnił, próbując ponownie wziąć ją w ramiona.

- A ja posunęłam się o krok za daleko. - Pokręciła głową z dezaprobatą dla swego zachowania.

- Wierz mi, że ja chciałem posunąć się o kilka kroków dalej - wyznał, podnosząc jej twarz ku sobie. - Tylko że...

- Rozumiem, o co ci chodzi, Nathanie - przerwała mu dosyć ostro.

- Wcale nie rozumiesz! - zachnął się. - To nie jest najlepszy moment ani odpowiednie ku temu miejsce...

Akurat z tym trudno było się nie zgodzić.

- Obiad - przypomniała.

- Brianno, musimy porozmawiać.

- Nie tu i nie teraz. - Ujęła go pod rękę. - Naprawdę powinniśmy już wracać, bo twoja rodzina gotowa wysłać ekipę poszukiwawczą.

Widać było, że chciał jeszcze protestować, ale posłała mu zdecydowane spojrzenie, więc w końcu ustąpił.

Przez resztę drogi nie rozmawiali ze sobą, a gdy zasiedli do obiadu, okazało się po raz kolejny, że zostali umieszczeni po przeciwnych stronach stołu, co tym razem ucieszyło Briannę. Po lewej ręce miała znów Sam, zaś po prawej - Petera Landrisa, który siedział u szczytu stołu.

- Czy ty i Nathan pokłóciliście się? - zagadnęła ją Samantha, gdy podawano kawę.

- Słucham? - Brianna zmarszczyła brwi.

- Przez cały czas ignorujesz Nathana, który ciągle spogląda na ciebie z niepokojem, sądząc, że nikt tego nie zauważy - wyjaśniła Sam. - Pomyślałam, że się pokłóciliście.

- Czy ktokolwiek ma na tyle odwagi, żeby się z nim kłócić? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Na przykład ja - podsunęła Sam. - Ale tak było zawsze, odkąd pamiętam.

- Nie pokłóciliśmy się - zapewniła Brianna. - Przypuszczam, że po przyjeździe tutaj Nathan zobaczył mnie po prostu w innym świetle.

- Naprawdę nie wiem, co masz na myśli. - Sam przyjrzała jej się z uwagą.

- Cóż, jestem tylko córką lekarza, a pracuję jako recepcjonistka w szpitalu - odparła tonem wyjaśnienia.

- Mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie - zaniepokoiła się Sam. - Bo to największa bzdura, jaką w życiu słyszałam. Rozejrzyj się, przecież w gruncie rzeczy jesteśmy zwykłą rodziną...

Samantha mówiła to, siedząc przy stole zastawionym porcelaną, srebrem i kryształami, obsługiwanym przez służbę w białych uniformach.

- Nathan nie jest snobem - ciągnęła z przekonaniem, wyraźnie oburzona. - Podobnie zresztą, jak każde z nas, nawet ciotka Margaret. Zresztą, na litość boską, była narzeczona Nathana pracowała jako sekretarka w sądzie, tam zresztą się poznali...

- Ale do ślubu w końcu nie doszło - przypomniała Brianna.

- Owszem, ale nie dlatego, że rodzina jej nie zaakceptowała. W porę okazało się, że chodziło jej tylko o pieniądze Nathana.

Brianna wyobrażała sobie, jak bardzo musiało go boleć, że nie był kochany dla samego siebie, ale dla majątku, jaki posiadał. W jej przypadku pieniądze stanowiły raczej przeszkodę niżeli cokolwiek innego.

- Nie pokłóciliśmy się, Sam - powtórzyła. - Po prostu wszystko toczy się za szybko...

Tu akurat była szczerą, nie planowała przecież, że zakocha się w Nathanie, wcale tego nie chciała.

- W to też mi trudno uwierzyć - orzekła Sam. - Znam mojego kuzyna od wielu lat i wiem, że nie należy do osób impulsywnych, wręcz przeciwnie.

Może i miała rację, choć Brianna nie wierzyła, żeby to, co stało się tego dnia w lesie, było szczególnie przemyślane.

- Nie zamartwiał się tak, Sam. - Roześmiała się lekko. - Wszystko jest w porządku.

- Po prostu nie chcę, żeby znów cierpiał - tłumaczyła.

- Wiem. - Brianna ścisnęła jej dłoń. - I nie mam najmniejszego zamiaru go skrzywdzić.

Tego popołudnia jeszcze raz pokłóciła się z Nathaniem, który wciąż uważał, że jej wizyta u Gilesa jest szaleństwem i upierał się, iż nic dobrego z tego nie wyniknie. Brianna tymczasem nawet nie chciała słyszeć o rezygnacji ze swych planów, więc rozstali się w złości. Wciąż jeszcze była zirytowana, idąc do biblioteki, gdzie czekał na nią ojciec Rebeki.

- Nathanowi nie spodobało się to, że wybierasz się do mnie sama - domyślił się.

- Wiedziałaś dobrze, że tak będzie - mruknęła, siadając w fotelu, stojącym obok kominka. Postanowiła zrezygnować z oficjalnej formy „pan”. W końcu był to jej dziadek.

- Zależy mu na tobie.

- A może po prostu lepiej niż ja wie, na co cię stać - odparowała, chcąc jak najprędzej skończyć ten temat.

- A chcesz mnie lepiej poznać, Brianno? - zapytał, spoglądając na nią zaczepnie.

- Chcę się dowiedzieć, co takiego się wtedy stało...

- I sądzisz, że mogę ci w tym pomóc?

- Wiem, że tak - odparła stanowczo.

- Mylisz się. - Usiadł wygodniej w fotelu. - Wcale nie znam wszystkich szczegółów, ale mogę ci powiedzieć to, co wiem. Myślisz, że uda ci się utrzymać język za zębami i nie przerywać mi?

- Oczywiście jesteś przekonany, że nie dam rady. - Skrzywiła się.

- Oczywiście - westchnął. - To nie do wiary, zostałaś wychowana przez zupełnie innych ludzi, nigdy nie dane ci było poznać twej prawdziwej matki, a mimo to zachowujesz się i mówisz dokładnie jak ona. Kiedy tak na ciebie patrzę, mam wrażenie, że czas się cofnął, że rozmawiam z nią, Rebekeą. Od czego by tu zacząć...? - zawahał się na moment. - Może od młodego farmera? Zakochał się w córce właściciela ziemi, którą uprawiała cała jego rodzina... To ja, na wypadek gdybyś miała jakiegokolwiek wątpliwości - wyjaśnił z kpiącym uśmiechem.

Zgadła to od razu, ale się nie odzywała, chcąc mu udowodnić, że jednak potrafi milczeć.

- Joanne była olśniewająco piękna, miała cudowne jasne włosy i niebieskie oczy, była ode mnie o dziesięć lat młodszą... Kochałem ją już od kilku lat, zanim wreszcie mnie zauważyła. Pewnego upalnego lata, gdy powróciła do domu po ukończeniu szkoły, zaczęliśmy razem jeździć konno. Uwielbiałem te nasze wyprawy, uważałem się wtedy za najszczęśliwszego człowieka na świecie. Ona chyba czuła to

samo, więc wreszcie zebrałem się na odwagę i poprosiłem ją o rękę. Miała wtedy zaledwie dziewiętnaście lat...

W jego głosie wciąż pobrzmiwała tamta miłość i tklivość, dlatego Brianna musiała przez chwilę walczyć z napływającymi do oczu łzami.

- Byłem zdumiony, gdy się zgodziła, ale, jak się spodziewałem, jej rodzina wyraziła absolutny sprzeciw. Wówczas Joanne zaproponowała, żebyśmy uciekli i wzięli ślub potajemnie. To było jedyne rozwiązanie. Jej rodzina wreszcie ustąpiła, dając nam ten dom. Joanne znów była ich córką, ale mnie nigdy nie zaakceptowali, uważali, że ukradłem im córkę i nie potrafili mi tego wybaczyć. Oczywiście wszyscy prorokowali, że nasze małżeństwo długo nie potrwa, przez co byłem gotowy uczynić wszystko, byleby udowodnić im, że nie mieli racji. Niedługo jednak dotarło do mnie, że Joanne wyszła za mnie z przekory. Tego lata, gdy wszystko się między nami zaczęło, zanim pojawiła się tutaj, przeżyła burzliwy romans z kimś, kto był już zaręczony.

Cóż za fatalny zbieg okoliczności, pomyślała ze smutkiem Brianna. Dwadzieścia lat później Rebeka uwikłała się w podobny romans, tyle że z bardziej tragicznymi konsekwencjami.

- Dopiero po jakimś czasie domyśliłem się, że rodzice Joanne dali nam ten dom, bo ów mężczyzna, w którym kochała się Joanne, mieszkał po sąsiedzku - ciągnął Giles, a w jego głosie brzmiała nuta goryczy.

Brianna wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Po sąsiedzku? Ale przecież po sąsiedzku mieszkali Peter i Margaret. Landris! Peter Landris?!

Giles potwierdził skinieniem głowy jej nieme przypuszczenia.

- Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego nie chciałem, żeby Nathan był świadkiem naszej rozmowy.

Nie wierzyła własnym uszom. Jak to możliwe? Nagle przypomniała sobie łagodny ton głosu, z jakim Peter Landris opowiadał jej o Joanne, rozgoryczenie, gdy wspominał, jak wyglądało jej małżeństwo z Gilesem.

- Zzerała mnie zazdrość, chociaż Joanne zapewniała mnie, że ich romans skończył się na długo przed naszym ślubem - ciągnął zmienionym głosem Giles. - Ale ja nie chciałem w to uwierzyć, nie mieściło mi się w głowie, że mogłaby pokochać kogoś takiego, jak ja... przecież wcześniej kochała Petera Landrisa... Ogarnęła mnie obsesja, chciałem za wszelką cenę mieć Joanne tylko dla siebie. Gdy urodziła się nasza córka, nie mogłem znieść, że ktokolwiek inny zaprzęta jej uwagę, czułem się opuszczony i zdradzony. - Skrzywił się z niesmakiem. - Wierzysz mi, że mówię prawdę? - upewnił się.

O tak, wierzyła mu, jak by mogła inaczej, skoro widziała, że nie oszczędzał siebie, nie umniejszał swej winy, a przy tym po tylu latach wciąż wyraźnie cierpiał z powodu tego, co się stało.

Skinęła głową, starając się opanować wzruszenie.

- Rebeka nienawidziła mnie serdecznie. Nic dziwnego, przecież odebrałem jej matkę. Joanne i ja dużo podróżowaliśmy, wyjeżdżaliśmy na kilka miesięcy, a gdy już wracaliśmy, byłem tak zajęty Joanne, że nie znajdowałem czasu dla córki. Kiedy myślę teraz o swej żonie, nie jestem w stanie nawet wyobrazić sobie, co przeżywała, rozdarta między miłością do mnie i do Rebeki. Nagle umarła - powiedział drżącym głosem. - A moja obsesja wraz z nią. Zostałem sam, bez

żadnego celu, żadnej radości w życiu, z trzynastoletnią córką, która mnie nie znosiła. Nie musisz mi mówić, że wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej, Brianno! - zawołał, widząc bolesny wyraz jej twarzy. - Miałem wiele lat, by dojść do tego wniosku. Możesz w to nie uwierzyć, ale, wbrew temu, co ci powiedziano, Joanne naprawdę mnie kochała. Gdyby było inaczej, nie wytrzymałaby ze mną tylu lat. - Na wspomnienie żony jego twarz wyraźnie złagodniała. - Wiele razy próbowała mnie o tym przekonać, ale nie umiałem jakoś w to uwierzyć. Po śmierci matki Rebeka nie chciała mnie znać, przyjeżdżała tu tylko wtedy, gdy wiedziała, że mnie nie będzie. Dlatego starałem się wyjeżdżać jak najczęściej, czułem, że jestem jej to winny. Było już za późno, żebym starał się przekonać ją do siebie, zamknęła się na mnie. - Zwiesił głowę. - Uczyniłem piekło z mojego małżeństwa, bo kochałem Joanne, jak egoista, byłem zaborczy i zazdrosny, w końcu i tak ją straciłem, a nasza córka nigdy mi nie wybaczyła, że przez tak wiele lat odrzucałem ją od siebie... i izolowałem od matki.

Wszystko to właściwie słyszała już od Nathana i jego ojca, ale brakowało tego jednego, najważniejszego elementu - ogromnej, wręcz obsesyjnej miłości Gilesa do żony. Miłości, która stała się jego obsesją ze względu na dawny związek Joanne z Peterem Landrisem! Bez tego jednego elementu trudno było nie uznać Gilesa za okrutnego tyrana, teraz zaś Brianna widziała w tym wszystkim jakiś sens, choć nie zmieniało to faktu, iż historia zakończyła się niepotrzebną tragedią.

- Po śmierci Joanne Rebeka prawie wcale się do mnie nie odzywała, po raz ostatni rozmawialiśmy, gdy przysłała mi

oznajmić, że jest w ciąży. Powiedziała wtedy, że między nią i tym mężczyzną wszystko już skończone i że nie zamierza wyjawić mi jego nazwiska, ale planuje urodzić to dziecko.

- A ty chciałeś, żeby się pozbyła dziecka - wtrąciła Brianna, nie mogąc dłużej milczeć, bo przecież to ona była tym dzieckiem.

- Nieprawda! - zaprotestował ostro. - Miałem nadzieję, że dziecko zbliży nas do siebie, że wreszcie będziemy normalną rodziną. Chciałem zająć się nią i dzieckiem...

- Ale Rebeka uciekła.

- Nie przede mną! Nie oczekuję, że w to uwierzysz, bo nikt nie dał temu wiary - zauważył gorzko. - Każdy chętnie założył, że wyrzuciłem z domu spodziewającą się dziecka córkę, że ją wydziedziczyłem. - Odwrócił wzrok ku kominowi, na którym głośno tykał stary zegar. - Tuż przed odejściem Rebeka powiedziała mi, że za nic nie chciałyby wychowywać tu dziecka, że wolałyby oddać je obcym, niż pozwolić mi mieć wpływ na jego wychowanie. W końcu właśnie tak postąpiła, a dwa dni później odebrała sobie życie.

- Nie poszedłeś nawet na jej pogrzeb - rzuciła oskarżycielskim tonem Brianna, która broniła się jak mogła przed ogarniającą ją falą współczucia dla tego samotnego, nieszczęśliwego człowieka.

- Nie, bo uważałem, że Rebeka nie życzyłaby sobie tego - wyjaśnił, zaciskając powieki. - Przymuszalnie po raz pierwszy w życiu zrobiłem dokładnie to, czego chciała. Tyle razy zawiodłem ją za życia, że nie chciałem już tego robić po jej śmierci.

- A co z jej dzieckiem? - Brianna wykrztusiła z trudem przez zaciśnięte z emocji gardło. - Z twoją jedyną wnuczką?

- Wnuczką, do której nie miałem prawa - przypomniał z goryczą w głosie. - Po raz kolejny postanowiłem uszanować życzenie Rebeki. Przecież powiedziała wyraźnie, że nie chce, żebym mieszał się w twoje życie. Powierzyła cię ludziom, którym ufała, o których wiedziała, że będą cię kochać jak swoją własną...

- I kochali - potwierdziła z łagodnym uśmiechem.

- Wiem. - Skinął głową. - Niestety, nie byłem obecny w twoim życiu, ale zawsze wiedziałem, gdzie mieszkasz i że jesteś szczęśliwa.

- A kim jest mój prawdziwy ojciec? - zapytała wreszcie.

- Niestety, nie wiem. - Rozłożył ręce. - Wiem tylko, że twoja matka bardzo go kochała i właśnie z jego powodu uciekła. Nie wymieniła jego nazwiska, bo, jak twierdziła, nie chciała, aby ktoś jeszcze cierpiał.

A więc znów ślepa uliczka.

Czy ktoś w ogóle wiedział, kto jest jej biologicznym ojcem, poza nim samym oczywiście? Nie liczyła na to, że ujawni się teraz, po latach, skoro nie zrobił tego wtedy, gdy Rebeka najbardziej go potrzebowała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Już wiesz, prawda, Brianno?

Podniósłszy wzrok, spostrzegła Petera Landrisa, który stał nieopodal w korytarzu. Właśnie wróciła do Claremont, nie słychanie zmęczona psychicznie i fizycznie w wyniku rozmowy ze starym, nieszczęśliwym człowiekiem, który był jej dziadkiem. To, co jej powiedział, było bardzo bolesne, zarówno dla niego, jak i dla niej, i zdawała sobie sprawę, że znacznie ulżyłaby mu w cierpieniu, gdyby mu wybaczyła, ale jeszcze nie czuła się w pełni-na to gotowa. W dodatku po tym wszystkim nie bardzo wiedziała, co ma myśleć o ojcu Nathana.

- Co niby mam wiedzieć? - Udawała, że nie rozumie, aby zyskać w ten sposób na czasie.

- Wejdźmy na chwilę do mojego gabinetu - poprosił, otwierając znajdujące się za jego plecami drzwi.

Zawahała się przez chwilę, ale w końcu udała się za nim do elegancko urządzonego pomieszczenia, w którym dominowało ogromne biurko.

- Nathan wspomniał mi, że poszłaś porozmawiać z Gilesem - rzekł Peter Landris, wskazując jej gestem jeden z wygodnych skórzanych foteli. - A Giles zapewne powiedział ci o moim związku z Joanne...

- I chce pan wiedzieć, czy zamierzam poinformować o tym Nathana? - domyśliła się.

- Nie. - Pokręcił głową. - To było czterdzieści lat temu, Brianno. - Uśmiechnął się smutno. - Poza tym byłem wtedy jeszcze kawalerem.

- Ale...

- Owszem, byliśmy z Margaret zaręczeni - potwierdził, zgadzając, co chciała powiedzieć. - Jesteśmy małżeństwem od czterdziestu lat i ani razu jej nie zdradziłem. Z Joanne spędziłem kilka szalonych tygodni w Szwajcarii, gdzie ona kończyła szkołę, a ja przyjechałem w interesach. Nie twierdzę, że byłem w porządku, bądź co bądź miałem wkrótce ożenić się z inną kobietą, ale Joanne... Zresztą, to nieistotne. To nie powinno było się w ogóle zdarzyć. Jednak po dwóch tygodniach spędzonych z Joanne wróciłem do domu, by ożenić się z Margaret, a kilka miesięcy później twoja babcia wyszła za Gilesa.

- W ramach odwetu - mruknęła, choć tak naprawdę zgadzała się z Gilesem, że gdyby Joanne go nie kochała, nie wytrzymałaby z nim tylu lat.

- Nie przypuszczam. - Peter Landris pokręcił przecząco głową. - Początkowo też tak sądziłem, ale w końcu sama Joanne wyprowadziła mnie z błędu. Zapewniła mnie, że bardzo kocha męża i ma nadzieję, że Giles kiedyś wreszcie uwierzy w siebie i przestanie wątpić w jej uczucia. Była wobec niego stuprocentowo lojalna. Dopiero po jej śmierci miałem okazję porozmawiać z nim o tym, ale wtedy było już za późno... - urwał, gdyż do pokoju wpadł jak burza Nathan.

- Wypadałoby zapukać, prawda? - pouczył syna.

Nathan zdawał się w ogóle go nie zauważać. Utkwił bawczawce spojrzenie w twarzy Brianny.

- Wszystko w porządku? - zapytał z wyraźnym niepokojem w głosie.

- Jak najbardziej - zapewniła. - Mówiłam właśnie twojemu ojcu, że Giles niestety nie był mi w stanie pomóc w odnalezieniu mojego biologicznego ojca. - Podniosła się, stannanie omijając wzrokiem Petera Landrisa. - Chyba pójdę się odświeżyć i spakować. Jak rozumiem, niedługo wyjeżdżamy, prawda, Nathanie?

Nie chciała być niegrzeczna, ale pragnęła tak szybko, jak to możliwe, wrócić do domu. Miała tyle do przemyślenia, a tutaj nie mogła się w pełni skupić.

- Kiedy tylko zechcesz - odparł, wyraźnie nie przekonany jej nonszalanckim zapewnieniem, że wszystko jest w porządku.

- Powinnaś wkrótce przyjść do mnie do kancelarii, żeby omówić kwestie spadkowe - przypomniał Landris senior.

I dokończyć przerwana rozmowę, dopowiedziała w myślach.

- Im więcej słyszę o tym, ile nieszczęść pieniądze przyniosły mojej matce i babce, tym mniejszą mam ochotę w ogóle ich dotykać - oświadczyła z goryczą.

Była pewna, że gdyby Giles nie ożenił się z bogatą kobietą, nie byłby tak niepewny jej miłości, a dzięki temu jego rodzina żyłaby w spokoju i szczęściu długie lata. Ona sama zresztą nigdy nie narzekała na nadmiar pieniędzy, ale też nie czuła się z tego powodu specjalnie nieszczęśliwa.

- Rozumiem, ale kiedy uznasz, że jesteś gotowa, zapraszam - odrzekł Peter Landris.

A konieczność- wizyty w jego kancelarii była kolejnym powodem, dla którego na razie nie chciała mieć nic do czynienia z testamentem Rebeki.

- Dam panu znać - obiecała. - I dziękuję za gościnę. Zdaję sobie sprawę, że nie była to dla pana najłatwiejsza sytuacja, dlatego jestem bardzo wdzięczna.

Spojrzała mu prosto w oczy, chcąc bez słów dać mu do zrozumienia, że dla niej jego związek z Joanne należał już do przeszłości i nie miała zamiaru nikomu o nim wspominać.

- Czy zamierzasz jeszcze raz odwiedzić Gilesa? - zapytał łagodnym tonem.

Zanim tu przyjechała, była pewna, że nie cierpi swego dziadka za to, co zrobił jej matce i babce, uważała go za straszego tyrana, ale teraz.... teraz widziała w nim jedynie samotnego starszego mężczyznę, któremu nie pozostało nic prócz bolesnych wspomnień.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Giles zadał jej to samo pytanie, gdy się z nim żegnała, ale i wtedy nie potrafiła udzielić żadnej konkretnej odpowiedzi. Potrzebowała czasu, by to wszystko sobie poukładać.

- Wybierasz się jeszcze kiedyś do Gilesa? - zapytał Nathan, gdy wracali do Londynu.

- Nie wiem - powtórzyła.

- To było trudne spotkanie - stwierdził, zerkając na nią współczująco.

- To prawda - zgodziła się. - Ale trudno nienawidzić kogoś, kto aż tak nienawidzi samego siebie - dodała, po czym odchyliła głowę na zagłówek i zamknęła oczy.

Nie przesadzała, Giles faktycznie nienawidził samego sie-

bie za to, jak wyglądało jego małżeństwo, za nieszczęście córki, do którego się przyczynił. Musiała jednak przyznać, iż podziwiała go, za to, że uszanował wolę Rebeki i nie domagał się praw do jej dziecka, choć wiedział cały czas, gdzie ono jest. Znaczyło to, że nie był aż taki zły.

Do końca podróży w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Z każdym mijanym kilometrem zbliżali się do kresu swej znajomości i ta świadomość była dla Brianny niemal nie do zniesienia.

- Dziękuję ci za ten weekend, Nathanie - zaczęła z wymuszonym uśmiechem na ustach.

- Nie myśl sobie, że uda ci się mnie zbyć, tak jak mojego ojca - przerwał jej stanowczo. - Dziś rano rzeczywiście nie był to najodpowiedniejszy moment ani stosowne miejsce, ale następnym razem będzie. Zadzwoń do ciebie za kilka dni, żeby zaprosić cię na kolację. A ty się zgodzisz - dokończył, widząc, że zamierza protestować.

- Czyżby? - mruknęła, nie do końca przekonana, że to dobry pomysł.

- Oczywiście, że tak - odparł z nieznośną pewnością siebie. - Chcę cię lepiej poznać.

- To nie ma sensu - westchnęła.

Ich rodziny zdawały się być ze sobą związane przez zły los, więc być może oni dwoje nie powinni stać się sobie bliscy, tak na wszelki wypadek.

- Czyżby ktoś się pojawił w twoim życiu? - Przyjrzał jej się zmrużonymi oczyma.

- Nie, zresztą to nie miałoby tu nic do rzeczy. Po prostu potrzebuję czasu, żeby wszystko sobie poukładać, przemyśleć.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek uda jej się pogodzić z przeszłością, ale nie mogła przecież od razu się poddać.

- Dlatego proponowałem, że zadzwonię za kilka dni - przypomniał. - Chyba że tu chodzi o mnie, że nie chcesz mnie już więcej widzieć.

- Teraz, gdy już dotarłam do celu, bo przecież ty byłeś tylko środkiem - sparafrazowała jego słowa.

- Byłem bardzo zdenerwowany, mówiąc to - tłumaczył się przed nią.

- Wiem - odparła łagodnie. - Ale teraz też jesteś.

- To wszystko przez ciebie! - zirytował się. - Jesteś uparta, przemądrzała i... okropnie denerwująca... - urwał, usłyszawszy jej chichot. - Co w tym takiego zabawnego?

- Rzeczywiście, jestem dokładnie taka, jak mówisz - przyznała. - I mimo to chcesz się ze mną zobaczyć?

- Chcę. - Uśmiechnął się. - Bo jesteś też wesoła, otwarta, szczerą i do tego bardzo piękną.

- Naprawdę nie jestem pewna, czy możemy być razem - powiedziała cicho, gładząc go po policzku. - Przecież ciągle nie wiemy, kim naprawdę jestem.

Jeszcze tak niedawno żyła sobie beztrudnie jako ukochana córka Grahama i Jean Gibsonów, nie zaprzatając sobie głowy kwestią swej tożsamości, i nagle w zeszłym tygodniu jej świat wywrócił się do góry nogami. Z jednej strony żałowała, że w ogóle otrzymała list od Petera Landrisa, z drugiej jednak, gdyby nie to, nigdy pewnie nie poznałaby Nathana.

- Przecież nie interesuje mnie twój rodowód. - Ujął ją za rękę.

- A powinien - przerwała mu łagodnie, ale stanowczo.

- Nie twierdę, że jestem córką twojego stryja Jamesa
- zapewniła szybko, widząc, że groźnie zmarszczył czoło.
- Ale nie możemy tego z całą pewnością wykluczyć. Pomyśl, co by było, gdybyśmy się poważnie zaangażowali w związek i nagle okazałoby się, że jesteśmy spokrewnieni?

- To tylko przypuszczenie. - Machnął lekceważąco ręką.

- Znow mówisz jak prawnik - zwróciła mu uwagę.

- Bo nim jestem! - zachnął się. - Zanim ktoś udowodni ponad wszelką wątpliwość, że jesteśmy kuzynami, wolę założyć, że nie jesteśmy spokrewnieni.

- Ale...

- Czy możesz to udowodnić? - przerwał jej zdecydowanie. - Czy Giles powiedział ci coś, co mogłoby sugerować, że jesteśmy spokrewnieni?

- Nie - przyznała szczerze. - Ale nie chciałabym, byśmy stali się sobie naprawdę bliscy, a potem dowiedzieli się, że nie możemy być razem.

- Już jesteśmy sobie bliscy - zauważył, przytulając ją do siebie. - Czyżby dzisiejszy poranek nie dał ci nic do myślenia? Nie pozwolę, żeby jakieś domysły, jakieś nikłe poszlaki zamknęły nam drogę do wspólnego szczęścia - oświadczył z determinacją w głosie. - Zadzwoń do ciebie, Brianno. - Pocałował ją. - Zaproszę cię na kolację, a ty się zgodzisz.

- Zgodzę się - westchnęła, bo będąc tak blisko niego, nie była w stanie niczego mu odmówić.

- Nareszcie! - Podniósł dziękczynnie oczy do góry. - Po dziesięciu minutach dyskusji dajesz mi wreszcie taką odpowiedź, jakiej od początku oczekiwałem. - Pokręcił głową z udawaną dezaprobatą. - Wykończysz mnie, jeśli bę-

dziesz tak się zachowywać za każdym razem, kiedy będę chciał się z tobą umówić.

- Nie ma obawy. - Uśmiechnęła się, przyznając mu w duchu rację, że ważniejsze jest to, co wiedzą, niż to, czego nie są w stanie udowodnić. A dla niej najważniejsze było to, że chyba go kocha!

Wysiadła z samochodu i poszła do domu, ani razu nie oglądając się za siebie, w obawie, że gdyby jeszcze raz zerknęła na Nathana, nie oparłaby się pokusie ponownego wtulenia się w jego ramiona.

- Jak się udał wyjazd? - przywitał ją ojciec, który siedział w salonie nad jakimiś medycznymi czasopismami.

Wyglądał na mocno zestresowanego, co nie było takie dziwne, wzięwszy pod uwagę sytuację, w jakiej się obecnie znajdowali.

- Och, tatusiu - zawołała, po czym jak mała dziewczynka rzuciła się z płaczem w ojcowskie objęcia.

Płakała nad Gilesem i jego smutnym, pozbawionym sensu życiem, nad pytaniami, na które nie znalazła odpowiedzi, a także nad swymi nowo odkrytymi uczuciami do Nathana.

- Jesteś blada i zeschupłałaś, Brianno - zauważył Nathan podczas kolacji.

Jak obiecał, odczekał kilka dni, a konkretnie do środowego poranka, zanim zatelefonował, by zaprosić ją tego wieczoru na kolację. Miała zamiar mimo wszystko mu odmówić, czując, że nie powinna się z nim spotykać, ale...

Miał rację, w ciągu tych zaledwie trzech dni straciła kilka kilogramów, bo od niedzieli nawet myśl o jedzeniu sprawia-

ła, że czuła mdłości. Jej nerwy napięte były do granic wytrzymałości, a wewnętrzna walka, jaką toczyła, pozbawiała ją zupełnie apetytu.

- Nie słyszałeś, że nie da się być zbyt szczupłym ani zbyt bogatym? - Zmusiła się do uśmiechu.

Nathan nie odpowiedział jej uśmiechem, tylko jeszcze uważniej przyjrzał się jej podkrążonym oczom i bladym policzkom.

- Obydwoje wiemy, że to nieprawda. Jesteś zbyt szczupła, a pieniądze jeszcze nikomu nie przyniosły prawdziwego szczęścia - oświadczył niesłychanie poważnym głosem.

Miała nadzieję, że uda jej się choć trochę rozerwać tego wieczoru, tymczasem Nathan był ciągle taki ponury... Jakże pragnęła znów być tą beztroską wesołą dziewczyną, jaką była zaledwie przed dziesięcioma dniami, zanim dowiedziała się czegokolwiek o swej rodzinie.

- Przyjemna restauracja - pochwaliła, chcąc zmienić temat. - Nigdy tu nie byłam.

Nie było to takie dziwne, zważywszy, że lokal ten nie należał do najtańszych, co wywnioskowała po jego wystroju i nazwach potraw, bo w podanym jej menu nie było cen.

- Brianno, wiem, że temat pieniędzy jest dla ciebie przykry, ale ojciec prosił, żebym ci powiedział...

- Niech mi sam to powie - przerwała mu zdecydowanie.
- Ale dopiero kiedy będę gotowa to usłyszeć. Zaraz, zaraz, czy chcesz przez to powiedzieć, że on wie o tym, że jemy dziś razem kolację? - zdumiała się.

- Raczej domyśla się - uściślił. - Słyszał, jak rezerwowałem przez telefon stół i wyciągnął stosowne wnioski.

- I? - ponagliła.

- I nic. - Wzruszy! ramionami. - Brianno, już od piętnastu lat nie proszę rodziców o aprobatę dla wszystkiego, co robię. - Nakrył dłonią jej rękę. - Chodźmy stąd - zaproponował, zaglądając jej głęboko w oczy.

Nie czekając na odpowiedź, dyskretnym gestem przywołał kelnera, by poprosić go o rachunek. Ku swemu zdumieniu Brianna przekonała się, że kelner nawet nie mrugnął okiem, gdy okazało się, że nie czekają, aż zamówione dania zostaną im podane.

- Dokąd idziemy? - zapytała, gdy pospiesznie opuszczali restaurację. - Nathanie, czy wiesz, co ci wszyscy ludzie teraz sobie o nas myślą?

- Że nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł zabrać cię do siebie, żeby się z tobą kochać - zażartował, wsiadając do auta. - I mają rację, rzeczywiście nie mogę.

- Ale... przecież...

- Aha, wreszcie zabrakło ci słów! - ucieszył się. - A jeśli chodzi o pierwsze pytanie, odpowiedź brzmi: jedziemy do mnie.

Brianna przypatrywała mu się z niedowierzaniem.

- A co z poznawaniem się bliżej? - przypomniała. - A co z odpowiednim czasem i miejscem?

- Uważam, że mój dom to doskonałe miejsce, a teraz jest ku temu doskonały moment - odparł, nie odrywając wzroku od jezdni.

- Jesteś pewien, że wszystko z tobą w porządku? - próbowała obrócić tę wysoce krępującą sytuację w żart.

- Niczego nie jestem pewien, odkąd cię spotkałem - przyznał. - Nie mogę przestać o tobie myśleć, nie potrafię skoncentrować się na pracy.

Jak na kogoś, kto przez ostatnie pięć lat uważał pracę za sens swego życia, rzeczywiście był to nadzwyczaj niepokojący objaw!

Elegancka dzielnica, w której miał dom, a także luksusowe samochody zaparkowane w sąsiedztwie sprawiły, że spodziewała się równie snobistycznego wystroju wewnątrz, jak w Claremont. Tymczasem spotkała ją miła niespodzianka, bo był to prawdziwy dom, utrzymany w złocistej żółci i zieleni, urządzone wygodnie, z kawalerską nonszalancją.

- No i? - ponaglił Nathan, gdy powoli rozglądała się dokoła siebie.

- Pięknie tu - oceniła z uśmiechem. - Na pewno lubisz wracać do tego domu po ciężkim dniu w pracy.

- To prawda - przyznał, zadowolony z pochwały, jaką otrzymał.

Podszedł do barku i wyjął z niego butelkę dobrego białego wina.

- Czy zrobimy coś do zjedzenia, żeby móc tym popić? - zapytał. - Na pewno znajdzie się coś jadalnego w lodówce, bo mam już wyrzuty sumienia, że pozbawiłem cię posiłku.

Wspólne przygotowywanie kolacji okazało się być świetną zabawą, dlatego do stołu zasiedli w doskonałych humorach, poprawionych dodatkowo kieliszkiem wina. Było cudownie, ale to tym bardziej przekonywało Briannę, że niepotrzebnie zgodziła się tu przyjść. Nie powinna przebywać z nim sam na sam, bo w ten sposób zapominała o swym mocnym postanowieniu, że będzie go unikać.

- Muszę już iść - oznajmiła ze smutkiem, gdy już posprzątała po posiłku. - Cieszę się, że miałam okazję zobaczyć

twój dom, jest naprawdę uroczy - pochwaliła szczerze. -
I kolacja była wyśmienita.

- A towarzystwo? - upomniał się.

- Towarzystwo też dobre - odrzekła, starannie unikając
jego wzroku.

- Ale teraz musisz już iść - powtórzył za nią.

- Tak, muszę - potwierdziła, starając się, by w jej głosie
nie było tyle smutku, ile miała go w sercu.

- Nie chcę, żebyś już szła - zaprotestował.

Ona też wcale nie chciała iść, ale jedno z nich musiało
zachować rozsądek, a nie zanosić się na to, żeby tą osobą
miał być Nathan.

- Może kiedy będzie już po wszystkim... - zaczęła bez
większego przekonania.

- Już jest po wszystkim. - Podeszedł, objął ją w pól, przy-
tulił mocno. - Dotarliśmy do końca drogi, nie ma już dokąd
iść.

- To nie koniec, to tylko ślepa uliczka - odparła z naci-
skiem. - Przecież musi istnieć ktoś, kto zna odpowiedź...

- Brianno, musisz się z tym pogodzić, że nie dowiesz się
całej prawdy - ostrzegł. - Nie możemy wciąż żyć w oczeki-
waniu na coś, co albo pewnego dnia wyjdzie na jaw, albo
nigdy nie zostanie ujawnione.

- Ale nie możemy też budować związku, udając, że
wszystko jest w porządku - argumentowała. - Nie mogę.

Wszystko w jej życiu tak się pokomplikowało, że nie po-
trzebowała kolejnych kłopotów i choć kochała Nathana, nie
mogła być z nim szczęśliwa, wciąż żyjąc w tej niepewności.

- Pragnę cię, Brianno - szepnął, obsypując jej twarz de-
likatnymi pocałunkami. - Chcę być z tobą.

Niewiele brakowało, aby poddała się jego pieścizotom, ale w ostatniej chwili zdobyła się na wysiłek i delikatnie, a zarazem stanowczo odsunęła się od niego.

- Nie możemy! - szepnęła. - Nie możemy. - W jej oczach zalśniły łzy.

- Przecież ty też mnie pragniesz. - Zajrzał jej głęboko w oczy. - Wiem o tym.

- Nie zamierzam temu zaprzeczać.

- W takim razie zapomnij o całej reszcie - kusił.

Może przez jakiś czas tak rzeczywiście byłoby prościej, ale nie na dłuższą metę.

- Nie mogę - wykrztusiła z trudem i po jej policzkach potoczyły się łzy.

- Nie pozwolę ci tak łatwo odejść - zdecydował. - Jeśli tak bardzo obchodzi cię, kto jest twoim ojcem...

- Wiesz., dlaczego to dla mnie takie ważne - przypomniała.

- W takim razie zrobię wszystko, żebyś poznała odpowiedź - dokończył.

- Ciekawe, jak? - Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Jakoś nikomu do tej pory się to nie udało.

- Jeszcze nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Ale muszę się dowiedzieć.

Potrząsnęła głową, przypomniawszy sobie fragment listu Rebeki.

- Uważaj, bo doszukując się prawdy, możesz przysporzyć cierpienia wielu osobom - ostrzegła. - Dlatego właśnie Rebeka uciekła, bo nie chciała, aby ucierpiały na tym niewinne osoby.

- A czy nie jest ważne to, że my też cierpimy? - zachnął

się. - Nie, Brianno, zamierzam uczynić wszystko, żeby poznać prawdę, po to, abyśmy mogli być razem!

W jego głosie słychać było taką determinację, że nawet przez moment nie wątpiła, iż tak się stanie, i nic ani nikt nie zdoła mu w tym przeszkodzić.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Ile pan powiedział? - Brianna wpatrywała się w Petera Landrisa, jak gdyby spadł z księżyca.

- Dobrze usłyszałaś. - Uśmiechnął się lekko, nalewając odrobinę brandy do szklanki, którą następnie jej podał. - Wypij to, powinno ci pomóc.

Drżącą dłonią sięgnęła po podany jej alkohol, po czym ostrożnie wysączyła mały łyk.

Milion funtów! Suma ta była tak niewyobrażalna, że przypawiła ją o zawrót głowy.

- Tyle Rebeka powierzyła funduszowi inwestycyjnemu - uściślił Landris senior. - Jeśli doliczyć do tego procenty za dwadzieścia jeden lat, wyjdzie mniej więcej...

- Nie chcę wiedzieć! - przerwała mu stanowczo. - I tak trudno mi jest wyobrazić sobie ten milion, nie interesuje mnie, ile więcej jest tego.

- Przecież to Rebeka zostawiła ci te pieniądze - przypomniał. - Chciała w ten sposób zapewnić ci przyszłość, gdybyś potrzebowała finansowego wsparcia.

Milion funtów, ładne mi wsparcie, pomyślała wciąż oszłamiona.

Choć specjalnie umówiła się z Peterem Landrisem o takiej porze, by mieć pewność, że Nathan będzie gdzieś poza kancelarią, teraz zaczynała tego żałować, bo jego obecność zła-

godziłaby pewnie szok, jakiego doznała, dowiedziawszy się, jak wielki jest jej spadek po matce. Oczywiście wciąż uważała, że lepiej będzie, jeśli przestaną się widywać, ale nie zmieniało to faktu, że bardzo go teraz potrzebowała.

- Czy ty i Nathan pokłóciliście się? - zapytał Peter Landris, jak gdyby potrafił czytać w jej myślach.

- A czemu pan tak sądzi? - Brianna przyglądała mu się podejrzliwie.

- Po pierwsze dlatego, że poprosiłaś o spotkanie w czasie, gdy Nathan jest w sądzie...

- A po drugie?

- Po drugie, wnioskuję to z jego zachowania. Nigdy nie widziałem, żeby był taki drażliwy, jak w ciągu kilku ostatnich dni.

- Drażliwy? - powtórzyła. - A jak dokładnie się to przejawia?

- Bardzo łatwo wyprowadzić go z równowagi - wyjaśnił. - Poza tym wiem z godnego zaufania źródła, że w sądzie jest wręcz bezwzględny. Powiedz mi, co takiego między wami zaszło?

Nic nie zaszło i to prawdopodobnie było przyczyną takiego właśnie zachowania Nathana. Do niczego nie doszło, ponieważ bała się tego związku. Bała się, a jednak sama nie była uszczęśliwiona z powodu swej decyzji sprzed kilku dni.

- Sądziłam, że będzie pan zadowolony, kiedy przestanę się spotykać z pańskim synem - wytknęła mu, specjalnie unikając odpowiedzi na zadane jej pytanie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Jestem córką Rebeki - odparła tonem wyjaśnienia.

- I wnuczką Joanne - przypomniał ciepłym tonem.

- Właśnie!
- Mój romans z Joanne był wprawdzie przelotny, ale nigdy nie przestałem lubić twojej babci, mimo że związałem się z kimś innym.

- A co na to pańska żona? - rzuciła wyzwanie.

- Mam nadzieję, że będziesz miała okazję poznać ją lepiej. - Uśmiechnął się. - Powiedziałem Margaret o moim romansie jeszcze przed naszym ślubem. O tak, Brianno, powiedziałem - powtórzyć zauważywszy jej zdumiony wyraz twarzy. - Sumienie nie pozwoliłoby mi ożenić się z nią, gdybym nie wyznał jej prawdy.

- I jaka była jej reakcja?

- Oczywiście Margaret wybaczyła mi, przecież jesteśmy małżeństwem już od ponad czterdziestu lat - przypomniał.

Nie wątpiła, że jego żonie musiało być ciężko ze świadomością, iż dopuścił się zdrady, mimo że nastąpiła ona jeszcze w okresie narzeczeństwa. A jednak byli ze sobą tyle lat, co świadczyło o tym, że Brianna pomyliła się w ocenie Margaret Landris - ta kobieta umiała kochać.

- To wspaniale, ale wątpię, żeby specjalnie cieszyło ją to, że jej syn spotyka się z wnuczką Joanne.

- Moja żona już dawno zdała sobie sprawę z tego, że Nathan jest dorosły i jeśli nie chce go stracić, opinie w pewnych kwestiach powinna zachować dla siebie - stwierdził tonem, który sugerował, że nie przyszło jej to łatwo. - Przyznam, że ja sam byłem na początku nieco zaniepokojony, ale teraz nie wyobrażam sobie lepszej synowej niż wnuczka Joanne.

- Ale ja nie jestem zakochana w pańskim synu - zaprzeczyła zbyt gwałtownie, by mógł jej uwierzyć.

- Czyżby? - mruknął, unosząc z powątpiewaniem brwi.
- Nie. Zresztą taki związek byłby nierealny. - Podniosła się, chcąc jak najprędzej zakończyć ten temat i wyjść.

- Dlaczego? - zaoponował Peter Landris. - Jestem pewien, że i Joanne, i Rebeka byłyby zadowolone...

- Tego nie wiemy na pewno - przerwała mu. - Ale jestem przekonana, że Giles mógłby mieć coś przeciwko temu - dodała z naciskiem.

- Giles - powtórzył w zamyśleniu. - Nathan spędził u nas weekend i w niedzielę wieczorem wybrał się do Gilesa...

Było to niby proste stwierdzenie faktu, jednak towarzyszyło mu pytające spojrzenie Petera. Brianne domyśliła się natychmiast, czego Nathan mógłby chcieć od jej dziadka, ale nie miała najmniejszego zamiaru dyskutować na ten temat z jego ojcem.

- Naprawdę? - udała brak zainteresowania. - Coś mi się zdaje, że po tym, co mi pan dziś powiedział, i ja powinnam się z nim zobaczyć.

- Spadek po Rebecce nie ma nic wspólnego z Gilesem.
- Zmarszczył czoło. - To pieniądze jeszcze po twoim pradziadku, Harringtonie.

- To nic, nadal sądzę, że powinnam z nim o tym porozmawiać - upierała się.

- Jak uważasz - mruknął, choć nietrudno było się domyślić, jakie jest jego zdanie w tej kwestii.

- Dziękuję, że zechciał pan dziś się ze mną spotkać. - Wyciągnęła do niego rękę, ucinając tym samym dalszą dyskusję. - Zadzwoń... - urwała, gdyż niespodziewanie drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich Nathan.

Peter Landris nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego jego nagłym pojawieniem się.

- Zdaje się, że jeśli chodzi o Briannę, jesteś chyba obdarty szóstym zmysłem - zakpił z syna.

- Rozprawa skończyła się wcześniej, niż przypuszczałem - wyjaśnił Nathan, nie spuszczać z niej wzroku.

- Jaki wynik? - spytał ojciec.

- Mój klient wygrał - odparł takim tonem, jak gdyby było to oczywiste. - Ładnie wyglądasz, Brianno - pochwalił.

- Właśnie wychodziłam - mruknęła, starając się nie okazać, jak wielką przyjemność sprawił jej widok Nathana.

- Odwiozę cię - zaproponował jak zwykle.

- To już robi się nudne - zauważyła ze słabym uśmiechem.

- Nie chcę słyszeć odmowy!

- Nathanie! - upomniął go ojciec. - Przypominam ci, że...

- Że Brianna jest twoją klientką i że przyszła tu oficjalnie, w sprawie spadku - dokończył zniecierpliwiony. - Wiem. Moja propozycja odwiezienia jej do domu też ma charakter oficjalny, bo... Bo tak mi się podoba!

Peter Landris miał rację, Nathan był rzeczywiście wyjątkowo drażliwy i skłonny do wybuchu z byle powodu. Zrobiło jej się go bardzo żal.

- Nathanie, od kilku dni włączysz się po okolicy Claremont, odwiedzając przedziwnych ludzi, a twoja matka wciąż nie może dojść do siebie po twojej ostatniej wizycie... Nie spędziłeś z nami nawet godziny - zwrócił mu uwagę ojciec.

- Miałem coś do załatwienia - wyjaśnił, nadal nie odrywając wzroku od Brianny.

- Wiem, że byłeś wczoraj wieczorem u Gilesa - nie ustępował Landris senior. - Twoja matka zadzwoniła do mnie dosłownie przed kwadrans, narzekając, że podobno zasypywałeś służbę przedziwnymi pytaniami. Nie mam pojęcia, co to wszystko ma znaczyć...

- Ale ja wiem - wtrąciła się Brianna. - Nie tędy droga - zwróciła się łagodnie do Nathana.

Była pewna, że w ten sposób jedynie urazi ludzi, a przy tym niczego się nie dowie.

- Może w takim razie wiesz, którądy? - zapytał z goryczą.

- Gdybym wiedziała, sama zajęłabym się tym... - westchnęła.

- A co ty w ogóle próbujesz osiągnąć? - zainteresował się Landris senior. - Oczywiście poza załamaniem nerwowym - dodał z przekąsem.

- Mam mu powiedzieć, czy może ty wolałabyś to zrobić?

- Nathan spojrział na nią pytająco.

Wolałaby skończyć ten temat, ale wyraz twarzy Petera Landrisa mówił jej, że tak łatwo się nie wywinie.

- Nathan błędnie uważa... - zaczęła.

- Nathan wie - poprawił ją stanowczo.

- Uważa, że odniesie sukces tam, gdzie Giles i ja ponieśliśmy porażkę - dokończyła.

- To znaczy? - nie rozumiał Landris senior.

- Że dowiem się, kto jest ojcem Brianny.

- Po co ci to wiedzieć? - Peter wyglądał na spłoszonego.

- Ponieważ Brianna nie zgadza się, żeby nasz związek rozwijał się w naturalny sposób, póki nie upewni się, że nie jesteśmy spokrewnieni - odrzekł Nathan, nie starając się nawet ukryć złości.

- Co to znaczy w naturalny sposób? - dopytywał się Peter.

- A skąd mam to wiedzieć? - prychnął jego syn. - Na razie Brianna opuściła szlaban, droga zamknięta, póki nie wyjaśni się.

- Ale jak niby mielibyście być spokrewnieni?

- Może jesteśmy kuzynami? - Skrzywił się ironicznie.

- Przypuszczam nawet, że przez moment podejrzewała, że jesteśmy rodzeństwem, dopóki oczywiście nie spotkała mamy i nie przekonała się, że nie śmiałyś być wobec niej niewierny!

- Nathanie, może byś wyrażał się o matce z trochę większym szacunkiem! - upomniał go ojciec, unikając jednocześnie wzroku Brianny, bo przecież wiedziała, że był niewierny wobec żony. Co prawda tylko raz, ale... - Wiem, że czasem sprawia ona wrażenie nieugiętej, ale to dlatego, że chce dla ciebie jak najlepiej.

Nathan westchnął ciężko.

- Masz rację, przepraszam - przyznał. - Ale ostatnio przechodzę ciężki okres.

Podszedł do jednego ze skórzanych foteli i usiadłszy, przejechał dłonią po włosach.

- Nie da się zaprzeczyć - mruknął jego ojciec. - Moja droga, nie miałem pojęcia, że coś takiego chodzi ci po głowie - zwrócił się do Brianny, natychmiast łagodniejąc. - Oczywiście, że ty i Nathan nie jesteście spokrewnieni.

- Skąd ta pewność? - Przyjrzała mu się uważnie.

- Widzisz, Brianna uważa, że skoro stryj James miał na drugie imię Brian, oznacza to, że jest jego córką - wtrącił Nathan.

- Aha - mruknął Peter Landris, a jego twarz wyraźnie się rozpogodziła. - To raczej kiepski dowód.

- Też to powiedziałem - ucieszył się Nathan.

- To dlatego, że obydwaj jesteście prawnikami - podsumowała Brianna. - Nawet gdybyście znaleźli kogoś, kto z ociekającym krwią nożem stoi nad jeszcze ciepłym ciałem, też byście uważali, że to jeszcze nie dowodzi jego winy.

- Boby nie dowodziło - przyznał Peter Landris. - Każda sprawa o morderstwo jest inna, ale prawie zawsze ten, kto znajduje ciało, przesuwają je, a także podnosi narzędzie zbrodni, ale to jeszcze nie czyni z niego mordercy. Podobnie, jak takie, a nie inne drugie imię mojego brata Jamesa nie świadczy jeszcze, że był on twoim ojcem.

- Ale...

- Zresztą to i tak niemożliwe - nie dał jej dokończyć Peter Landris. - Dziwię się, że o tym nie pamiętałaś, Nathanie. Przykro mi, Brianno, ale wtedy, gdy zostałaś poczęta, mój brat James i jego rodzina mieszkali jeszcze w Stanach.

- Ojej, rzeczywiście! - zawołał Nathan. - Zupełnie o tym zapomniałem.

- Wrócili dopiero rok później, kiedy Samantha miała zacząć szkołę - dokończył jego ojciec.

Brianna czuła, jak rozpieszcza ją radość, pomieszana z uczuciem niewymownej ulgi. A więc nie była spokrewniona z Nathanem!

- Jak rozumiem, opierałaś się na założeniu, że twoje imię musiało mieć wyjątkowe emocjonalne znaczenie dla Rebeki - ciągnął Peter Landris. - Może, idąc tym samym tropem, rzeczywiście było w jakiś sposób istotne dla nich obydwójka, a jednocześnie tylko dla nich zrozumiałe - podsunął.

- To znaczy? - Z trudem oderwała spojrzenie od Nathana.

- Cóż, kochankowie nadają sobie pieszczotliwe imiona. Na przykład Margaret i ja zwracaliśmy się do siebie... - umilkł zawstydzony. - Nieważne, po prostu często ludzie sobie bliscy nadają sobie nawzajem tylko im znane imiona.

- Trudno chyba przypuszczać, żeby imię Brian funkcjonowało w ten sposób - wyraził wątpliwość Nathan.

- Chciałem tylko pomóc - odparł z godnością jego ojciec. - Mam nadzieję, że trochę ci ulżyłem - zwrócił się z uśmiechem do Brianny.

- O, tak! - zawołała radośnie, spoglądając na niego z wdzięcznością.

- Widzisz, Nathanie, zadawałeś to pytanie niewłaściwym osobom - upomniał łagodnie syna.

- Na to wygląda - zgodził się Nathan, po czym wstał i wyciągnął ku Briannie obydwie ręce, które ona ochoczo ujęła, uśmiechając się do niego promiennie.

- A wy dokąd? - zdumiał się Landris senior, gdy, nie zważając na niego, ruszyli obydwójce ku drzwiom.

- Zdaje się, że idziemy pomóc naszemu związkowi rozwinąć się w naturalny sposób - odpowiedziała mu ze śmiechem Brianna.

- Ach - mruknął, wyraźnie skonsternowany. - W takim razie do zobaczenia jutro rano, Nathanie - dorzucił słabym głosem.

- Być może - stwierdził enigmatycznie Nathan, po czym zamknął za sobą drzwi.

- Zgorszyłeś swojego ojca - zbeształa go Brianna, gdy już znajdowali się na korytarzu.

- Wątpię, przecież sam był kiedyś młody.

A wtedy miał romans z Joanne Harrington, pomyślała Brianna, natychmiast poważniejąc. Zgoda, wszystko wskazywało na to, że nie byli jednak spokrewnieni, ale mimo to wiele było między nimi sekretów, które nie sprzyjały budowaniu trwałego związku.

- Witajcie - zawołał uśmiechnięty Roger Davis, który właśnie zbliżał się do nich z przeciwległego końca korytarza.

- Jest ojciec, Nathanie?

Nathan potwierdził wesołym skinieniem głowy.

- Wyglądacie na wyjątkowo uszczęśliwionych - zauważył, przypatrując się im uważnie.

- Bo też jesteśmy bardzo szczęśliwi - odparł Nathan, obejmując Briannę ramieniem.

- Czyżby zapowiadało się na ślub? - Roger uniósł w zdumieniu brwi.

- Jeszcze nie, ale pracuję nad tym.

Brianna nie mogła uwierzyć własnym uszom. Przecież do tej pory nawet słowem nie wspomnieli o małżeństwie! To absurd, nie mogła wyjść za mąż, nie uporządkowawszy swego życia, a na to nie zanośliło się tak prędko!

- Nie miałem pojęcia, że sprawy zaszły aż tak daleko - zauważył Roger.

Nie pan jeden, pomyślała. Wspominając o ślubie, Nathan postąpił nie jeden, lecz dziesięć kroków naprzód, a takie tempo zupełnie jej nie odpowiadało.

- Nie martwiłabym się tym, panie Davis - wtrąciła się - ja też jeszcze przed chwilą o tym nie wiedziałam. Proszę nie wierzyć we wszystko, co mówi Nathan, ostatnio nie jest sobą.

- Nie? - Nathan posłał jej groźne spojrzenie. - A kim, jeśli nie sobą?

- Sama właśnie się nad tym zastanawiam - odparła, wysuwając się z jego objęć.

- Zdaje się, że narozrabiałem - stwierdził z zakłopotaniem Roger.

- Ależ skąd! - zapewniła pospiesznie Brianna. - Miło było znów pana zobaczyć, ale muszę już iść.

- Musimy już iść - poprawił ją z naciskiem Nathan.

- W takim razie zajrzę do Petera - zdecydował Roger, po czym oddalił się.

- No i popatrz, co narobiłeś! - wybuchła, gdy znaleźli się na parkingu. - Teraz wuj Roger powie o wszystkim ciotce Clarissie, a ona natychmiast przekaże to twojej matce i afera gotowa!

- I co z tego? - Wzruszył ramionami.

- I wtedy będziesz musiał przyznać się przed wszystkimi, że to nieprawda. Bo to nieprawda, Nathanie! Owszem, ustaliliśmy już, że twój stryj James nie jest moim ojcem, ale wciąż jest tyle niewiadomych, tyle komplikacji... Nie można na czymś takim budować trwałego związku.

- O jakich komplikacjach mówisz? - Posłał jej lodowate spojrzenie. - Chodzi ci o to, że teraz jesteś dziedziczką fortuny Harringtonów?

- Udam, że w ogóle tego nie słyszałam - powiedziała cicho.

- Przepraszam cię, Brianno! Wybacz mi - poprosił. - Nie mam pojęcia, czemu to powiedziałem.

- Widzisz, to się nie może udać! Nie, dopóki nie dowiemy się wszystkiego, bo zbudujemy nasz związek na piasku...

- urwała, w obawie, że głos za chwilę odmówi jej posłuszeństwa. - Dziękuję, ale nie chcę, żebyś mnie podwoził, muszę się przejść, żeby pozbierać myśli.

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

- Zaczekaj! - Złapał ją za ramię. - Decydujesz także i o mojej przyszłości, więc powinnaś coś wiedzieć. - Wciągnął głęboko powietrze w płuca, jak gdyby się do czegoś przygotowywał i wyznał: - Kocham cię, Brianno, chcę, żebyś została moją żoną - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Przez moment wpatrywała się w niego w niebotycznym zdumieniu. Kochał ją! I ona też go kochała całym sercem, ale nie miała pewności, czy to wystarczy, by w ich sytuacji stworzyć udane, szczęśliwe małżeństwo.

- Muszę już iść - szepnęła, walcząc z napływającymi do oczu łzami. - Muszę już iść!

Pobiegła przed siebie, nieważne dokąd, byle jak najdalej od niego, jak najdalej od kłopotów, których rozwiązania nie widziała.

Nie miała pojęcia, jak długo spacerowała, nie potrafiłaby nawet wymienić ulic, wzdłuż których chodziła, wiedziała tylko, że przebyła długą drogę, bo nogi bolały ją niesamowicie, gdy wreszcie o zmroku dotarła do domu. Ku swemu zdumieniu spostrzegła, że stoi przed nim więcej samochodów niż zwykle, a jednym z nich był znajomy zielony jaguar.

Otworzyła po cichu frontowe drzwi, a gdy znalazła się w korytarzu, dobiegł ją szmer rozmów, dochodzący z salonu. Za chwilę wyszedł stamtąd wyraźnie podekscytowany Gary.

- A cóż to, urządzasz nie zaplanowaną imprezę? - zażartowała.

- O, Brianna! - ucieszył się. - Nie tym razem, niestety. Zostałem oddelegowany do kuchni, żeby zaparzyć herbatę - wyjaśnił. - Ten twój Nathan jest ekstra, obiecał, że mnie przewiezie tym swoim cackiem - pochwalił się.

Jej brat miał kompletnego bzika na punkcie samochodów, zwłaszcza tak ekskluzywnych jak jaguary, nie miała więc wątpliwości, że obietnica przejażdżki zrekompensowała mu trudy parzenia herbaty.

- To nie żaden mój Nathan - poprawiła.

- A on twierdzi, że twój. - Wzruszył ramionami.

- To się myli - upierała się. - Dla ilu osób parzysz herbatę?

- Dla sześciu, wliczając w to ciebie i mnie - poinformował beztrząsco.

Dla sześciu? Ojciec, Gary, Nathan i ona to czworo, kim więc była pozostała dwójka?

- Gary...

- Muszę lecieć, siostrzyczko - nie pozwolił jej dokończyć. - Biedny tato, dwoi się i troi, żeby czymś ich zająć, ale oni... Od jakichś dziesięciu minut rozmowa w ogóle się nie klei.

Bardzo chciała wiedzieć, kim byli ci enigmatyczni „oni”, ale nic nie wskazywało na to, że dowie się tego od zaafektowanego brata. Przez chwilę myślała, żeby po cichu przekraść się do swojego pokoju, ale wiedziała, że gdy Gary powróci do salonu z herbatą i oznajmi im, że już wróciła, chowanie się po kątach nic jej nie pomoże. Zebrawszy się na odwagę, powoli otworzyła drzwi do salonu.

Ojciec siedział w swym ulubionym fotelu, wyraźnie spięty, choć starał się nadrabiać miną. Obok niego, oparty o ko-

minek, stał Nathan, który nawet nie usiłował ukryć napięcia, jakie wręcz z niego emanowało. Pozostała dwójka siedziała na sofie, trzymając się mocno za ręce. Clarissa i Roger Davisowie. Co też tych dwoje tu robi, zastanawiała się gorączkowo. Gdy jednak spostrzegła ból w niebieskich oczach Clarissy i rozterkę, malującą się na twarzy Rogera, знаła już odpowiedź.

To Roger Davis był mężczyzną, którego poszukiwała od kilkunastu dni, to on miał romans z Rebeką... to on był jej biologicznym ojcem!

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Roger Davis!

Wydawało jej się to absolutnie niemożliwe, wręcz absurdalne, przecież on i Clarissa stanowili taką dobraną parę. Bolało ją, że Clarissa musiała cierpieć z powodu jej nagłego pojawienia się w domu Landrisów.

A jeszcze nie tak dawno Roger mówił jej, że nie ma dzieci. Ścisłej rzecz biorąc, powiedział, że on i Clarissa nie mają dzieci. Czy domyślił się, że jest jego córką? Przecież Nathan i jego ojciec rozpoznali ją bez najmniejszego wahania, wystarczyło im jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że jest córką Rebeki. Tym bardziej chyba on musiał ją poznać? Ale jeśli ją poznał, jeśli wiedział, kim jest, co tu robił, czemu akurat teraz? Czy miało to cokolwiek wspólnego z planami Nathana wobec niej?

- Nathan? - odezwała się niepewnie.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Podszedł do niej i przytulił ją do siebie mocno.

Nieprawda, nie wszystko było w porządku..Przecież nie-nawidziła człowieka, który zawiódł jej matkę, natomiast Rogera bardzo lubiła, więc jak to wszystko pogodzić? A Clarissa? Dlaczego właśnie ona musiała cierpieć, przecież była sympatyczną, uroczą kobietą? Brianna była pełna podziwu

dla jej opanowania, bo nawet w tak trudnej sytuacji, jak ta, wciąż pozostawała prawdziwą damą.

- Clarisso - zaczęła ze współczuciem. - To znaczy pani Davis... - poprawiła się.

- Mów mi Clarissa, moja droga - poprosiła - Wiedziałam, że kogoś mi przypominasz. - Uśmiechnęła się smutno.

- Rebeke - domyśliła się Brianna.

- Nie. - Pokręciła przecząco głową. - Rogera. Obydwoje macie taką samą, wysuniętą do przodu brodę, podobnie jak wszyscy uparci ludzie. Widzisz, Roger też potrafi być straszliwie uparty, tak jak wtedy, gdy przed dwudziestu dwu laty zaproponowałam, że możemy unieważnić nasze małżeństwo, a on...

Przed dwudziestu dwu laty. To właśnie wtedy Brianna została poczęta. Czy to możliwe, żeby Clarissa już wtedy wiedziała o romansie męża z Rebeke? To straszne!

- Wszystko będzie dobrze, Brianno - przemówił łagodnie Nathan.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Jak mógł w ogóle tak mówić? Przecież okazało się właśnie, że jego wuj jest jednocześnie jej ojcem i choć nie byli na szczęście ze sobą spokrewnieni, jego rodzina i tak ją znienawidzi!

- Usiądź, kochanie - zaproponował jej ojciec, ustępując córce swój fotel. - Miałeś kilka godzin, żeby przyzwyczaić się do myśli o tym, a dla niej to szok - przypomniał Nathanielowi. - Wysłuchaj ich, proszę, córeczko, i nie próbuj osądzać, póki nie dowiesz się wszystkiego. Zresztą nie ma w tej opowieści żadnego prawdziwego czarnego charakteru, są tylko sami bardzo nieszczęśliwi ludzie. Zapewne niektóre elementy tej historii mogą ci się wydać dziwnie znajome.

Zaskoczyło ją szczególnie to ostatnie zdanie, ale postanowiła, że na razie nie będzie zadawać pytań, tylko słuchać, a potem dopiero się zastanowi, co dalej. Może rzeczywiście okaże się, że wszystko będzie dobrze?

- Herbata - oznajmił Gary, wkroczywszy do salonu z tacą pełną filiżanek.

- Gary słynie z doskonałego wyczucia - ojciec wyjaśnił gościom. - Nalej wszystkim herbaty, synu, a potem usiądź i trzymaj buzię na kłódkę, zrozumiano?

Gary uśmiechnął się pogodnie i bez szemrania spełnił polecenie. Brianna, znając go, wiedziała, że gotów był aż tak się poświęcić, byleby tylko pozwolono mu wziąć udział w tym niesamowicie ciekawym przedstawieniu!

- Chyba to ja powinienem powiedzieć Briannie, co się stało przed dwudziestu dwu laty - odezwał się Roger, starannie unikając czyjegokolwiek spojrzenia.

- Tylko nie bądź dla siebie zbyt surowy - poprosiła Clarissa. - Nikt nie jest doskonały, ty też miałeś prawo popełnić błąd.

Roger uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, po czym zaczerpnął głęboko powietrza w płuca.

- Byliśmy wtedy pięć lat po ślubie, pięć szczęśliwych lat - zaczął niepewnie. - Niestety, choć staraliśmy się, jak mogliśmy, nie mieliśmy dziecka.

Brianna ścisnęła dłoń ojca. Rzeczywiście, ten element historii wydawał jej się znajomy, bo właśnie z tego samego powodu trafiła do rodziny Gibsonów.

- Wreszcie postanowiliśmy poddać się badaniom i po kilku miesiącach okazało się, że nigdy nie będziemy mieli dzieci - ciągnął Roger. - To był dla nas ogromny cios. Oczywiście

nie zwalnia mnie to od odpowiedzialności za to, co później zrobiłem.

- Zapomniałeś powiedzieć, co dokładnie wykazały badania - wtrąciła łagodnie Clarissa.

- Nie zapomniałem, ale przecież nie jest to takie istotne - argumentował.

- Właśnie, że jest - upierała się jego żona. - Wiem, że starasz się mnie chronić, ale w ten sposób oczerniasz samego siebie. - Przeniosła wzrok na Briannę. - On naprawdę nie jest złym człowiekiem, nie chcę, żebyś tak o nim myślała.

Przecież Roger był żonatym mężczyzną, który miał romans z osiemnastolatką, zaś w jego wyniku nieślubne dziecko, niechciane dziecko - jak więc mogła nie myśleć o nim źle?!

- Pamiętasz, jak wspominałam, że niegdyś byłam czarną owcą swej rodziny? - kontynuowała Clarissa. - Jako nastolatka byłam szalenie ciekawa życia, próbowałam wszystkiego: alkoholu, narkotyków, seksu. Dopiero gdy zaszłam w ciążę, zdałam sobie sprawę z tego, jak rujnuję sobie życie. W dodatku byłam wtedy związana z kilkoma mężczyznami jednocześnie, więc nie miałam nawet pewności, który z nich jest ojcem dziecka. Miałam zaledwie dziewiętnaście lat, nie czułam się gotowa do macierzyństwa, więc... - Głos uwiązł jej w gardle. - Więc zdecydowałam się usunąć ciążę. To była najgorsza chwila w moim życiu! Po zabiegu czułam się bardzo źle, aż w końcu po kilkunastu dniach zgłosiłam się do lekarza. Okazało się, że wywiązała się infekcja. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jakie to może mieć konsekwencje, dopiero podczas tych badań, o których wspominał Roger, okazało się, że z powodu tamtego zabiegu już nigdy nie będę

miała dzieci. Postanowiłam wyznać mu wszystko ze szczegółami. To był dla niego szok, zresztą zupełnie się temu nie dziwię. Przez kilka miesięcy nasze małżeństwo wisiało na włosku.

- I wtedy pojawiła się Rebeka - domyśliła się Brianna.

- Tak, wtedy pojawiła się Rebeka - powtórzył Roger. - I nie zamierzam się tu usprawiedliwiać, Clarisso - zwrócił się do żony. - Byłem żonaty, a Rebeka miała zaledwie osiemnaście lat i desperacko potrzebowała miłości.

- Pan zapewne też - wtrącił ojciec Brianny. - Wiem coś o tym, sam byłem w podobnej sytuacji. Wtedy sztuką jest utrzymać małżeństwo, bo każda ze stron czuje się winna. My też przez to przeszliśmy.

- A w końcu urodziłem się ja - wtrącił dumnie Gary, czym nieco rozładował panujące napięcie.

- A w końcu urodziłeś się ty - potwierdził ojciec, mierzwiąc jego czuprynę. - I jeśli to nie powód, by wszystkim odradzać posiadanie dzieci, to nie wiem, co jeszcze może nim być - roześmiał się.

- Masz wspaniałą rodzinę, Brianno - pochwalił Roger.

- Wiem. - Uśmiechnęła się promiennie.

- Nie jestem dumny z mojego romansu z Rebeką, ale dzięki niemu zrozumiałem pewną szalenie ważną rzecz...

- Roger podjął przerwany wątek. - Kiedy dowiedziałem się, że jest w ciąży, zdałem sobie sprawę, że kocham nie ją, lecz moją żonę, choć nie możemy mieć wspólnie dzieci. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że przeszłość Clarissy nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, że zależy mi tylko na tym, żeby być z nią. Musiałem jakoś powiedzieć o tym Rebecce.

- Westchnął boleśnie. - I wyznać Clarissie prawdę o moim

romansie. Rebeka mnie znenawidziła, a Clarissa wybaczyła mi.

- Nie wiem, czy potrafisz to zrozumieć, Brianno, ale związek Rogera z twoją matką umocnił nasze małżeństwo, zamiast je rozbić - włączyła się ponownie Clarissa. - Wiem, że to niesprawiedliwe wobec Rebeki. Brzmi to paradoksalnie, ale dzięki temu, że Roger mnie zdradził, staliśmy się ponownie równi sobie.

- Rozumiem - szepnęła Brianna.

- Bardzo chciałam być twoją matką, wychowywać cię jak swoją - ciągnęła Clarissa. - Bądź co bądź, jesteś dzieckiem Rogera, dzieckiem, którego nigdy nie mogłam mu dać...

A więc okazywało się, że nigdy nie była niechciana, wręcz przeciwnie, tak wielu ludzi jej pragnęło - Rebeka, Giles, Clarissa i Roger, Graham i Jean!

- Byłem w siódmym niebie, gdy Clarissa zaproponowała mi to - opowiadał Roger. - Niestety, Rebeka już zniknęła i mimo miesięcy poszukiwań nie zdołaliśmy jej odnaleźć. Potem było już za późno, nie żyła... - Urwał na chwilę. - Widziałem, że zostałeś zaadoptowana przez parę o nazwisku Gibson. Przez jakiś czas zastanawiałem się, czy nie odszukać cię i nie upomnieć się o swoje ojcowskie prawa. - Spojrzał przeproszająco na Grahama Gibsona. - Zrozumiałem jednak, że zachowałbym się egoistycznie, że powinienem uszanować życzenie Rebeki, która osobiście umieściła cię u nich.

- Skąd wzięło się moje imię? - zapytała Brianna.

- To był nasz sposób kontaktowania się - wyjaśnił, rumieniąc się. - Rebeka uważała, że nie powinniśmy używać naszych prawdziwych imion, więc gdy dzwoniłem do niej, zawsze nazywała mnie Brianem. Nie wiem, dlaczego nazy-

wała mnie akurat w ten sposób, sędzę, że wybrała to imię przypadkiem. Kiedy mówiłem, że Briana nie ma, oznaczało to, że tego dnia nie możemy się spotkać. Jak widzisz, twoje imię nie ma jakiegoś szczególnego znaczenia.

- Ależ właśnie ma! - zawołała z przekonaniem. - Gdyby Rebeka rzeczywiście nienawidziła cię, tak jak twierdzisz, nie nadałaby mi żeńskiej wersji tego imienia. Wiedziała jednak, że pewnego dnia się spotkamy i zrozumiesz, co chciała ci w ten sposób powiedzieć.

- Wydaje mi się, że nie masz racji, Brianno - wyraził wątpliwość Roger. - Niby skąd miałyby wiedzieć, że się spotkamy?

- Przecież zdeponowała testament u twojego współnika, prawda? - przypomniała. - Zostawiła też instrukcję, że kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, mam otrzymać jej list. Wiedziała, że się spotkamy i dlatego nadała mi imię Brianna, bo chciała w ten sposób dać ci do zrozumienia, że ci wybaczyła.

- Wiesz, kochanie, wydaje mi się, że Brianna ma rację - stwierdziła po namyśle Clarissa.

- Mam nadzieję, że tak jest - odparł drżącym z emocji głosem. - Mam nadzieję...

Brianna patrzyła na niego ze współczuciem. Oto siedział naprzeciw niej człowiek, który przed dwudziestu dwu laty popełnił błąd, błąd, który zaważył na losach kilku osób. Na myśl o tym, że Roger musiał tyle lat żyć z tą świadomością, dręczony wyrzutami sumienia, zrobiło się jej go żal. Pomyślała, że dość tego cierpienia, należy zamknąć ten rozdział i spojrzeć w przyszłość.

- Wybaczam ci - oznajmiła łamiącym się ze wzruszenia głosem. - Wybaczam, tak jak Rebeka ci wybaczyła. Nie możesz wprawdzie być moim ojcem, bo już jednego mam...

- Skierowała pełne wdzięczności spojrzenie na Grahama Gibsona; - I to jakiego wspaniałego! Ale mam nadzieję, że będziemy mogli poznać się bliżej, wszyscy - dodała, patrząc ciepło na Clarissę.

- A kiedy Brianna wreszcie zgodzi się wyjść za mnie, będziecie mogli oficjalnie zostać jej wujem i ciotką - wtrącił się milcząco do tej pory Nathan.

- Do tego jeszcze długa droga - ostudziła jego zapał.
- Twojej rodzinie należą się wyjaśnienia, zanim to się będzie mogło stać.

- Wcale nie - zaprzeczył. - A jak myślisz, dlaczego Roger dziś tu się znalazł? Bo mój ojciec o wszystkim wiedział - sam odpowiedział na swoje pytanie. - Porozmawiał dziś z Rogerem, bo bał się, że jeszcze kilka dni, a stanie się coś złego, biorąc pod uwagę mój nastrój ostatnimi czasy.

- Czy twoja matka wie o wszystkim? - Przyjrzała mu się szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

- Owszem. - Skinął głową.

To by wyjaśniało jej chłód podczas wizyty Brianny w Claremont! Osobiście nie miała nic przeciwko niej samej, obawiała się jedynie, że uczucia jej siostry zostaną ponownie zranione.

- W takim razie nie widzę żadnych więcej przeszkód... Zgadzam się, wyjdę za ciebie! - oznajmiła radośnie. - Kocham cię.

- I ja cię kocham - wyznał Nathan, tuląc ją do siebie z całej siły. - Bardzo, ale to bardzo!

- Ach, co to będzie za ślub! - westchnął Gary, czym wywołał ogromną salwę śmiechu.

EPILOG

Po raz kolejny przeczytała list, po czym starannie złożyła go i umieściła z powrotem w kopercie. Jedna kartka papieru, zapisana drobnym, młodzieńczym pismem. Tak niedużo, a jednocześnie tak wiele.

- Gotowa do wyjścia, kochanie? - zapytał Nathan, stając za jej plecami.

Brianna odwróciła się ku niemu, a jej oczy błyszczały radością, podobnie jak przed kilkoma godzinami, gdy ślubowała mu miłość i wierność aż po kres życia. Wszyscy, których kochała, byli przy nich w tym ważnym, podniosłym momencie - jej ojciec i Gary, Giles, Roger i Clarissa, Margaret i Peter, Sam i Susan, wszyscy zjednoczeni wokół córki Rebeki...

- Była dziś razem z nami - zapewnił ją łagodnie Nathan, spostrzegłszy znajomą kopertę w dłoniach żony.

- Myślisz, że cieszy się, że wszystko tak się ułożyło? - zapytała, wtulając się w jego ramiona.

- Na pewno. A teraz dość smutnych wspomnień, wszyscy czekają, żebyś rzuciła bukiet.

Wśród ogólnego śmiechu i dowcipów bukiet poszybował ze szczytu ogromnych schodów wprost w ręce Sam. Choć Brianna jechała do ślubu z domu, w którym mieszkała wraz z ojcem i bratem, przyjęcie weselne odbywało się w domu

Mallorych. Pomysłodawcą tego był, sam Giles, który wyremontował budynek tak dokładnie, iż był wręcz nie do poznania, a wszystko to dla swej jedynej, teraz już ukochanej wnuczki, w przyszłości zaś także dla jej dzieci.

Wyglądało więc na to, iż Rebeka każdemu coś podarowała... Dla Brianny był najwspanialszy dar, jaki mogła sobie wyobrazić - gdyby nie testament Rebeki, prawdopodobnie nigdy nie spotkałaby swego męża.

RS